

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok VIII

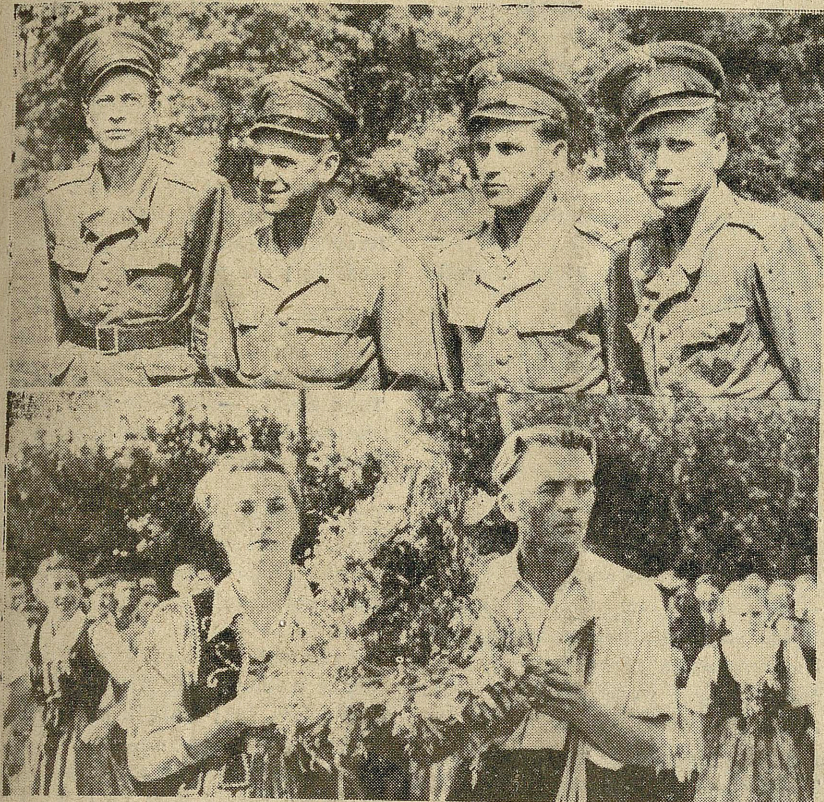
Warszawa, dn. 2. IX. 1951 r.

Nr 35 (317)

WRZESIEŃ 1951 R.

STEFAN BRONISZ

WRZESIEŃ 1939



JAN NAGRABIECKI

H A N K A

Umarłej jaskółki
nikt nie grzebie
i żółtej twarzy żołnierza.
W puklach kół wieczory
pośnięte.
Cienie się dłużą i jak pyski wyją.
Wygłąda spod chabki całej w płesni
smutna twarz dziewczynki.

Pytaj o imię: Hanka,
o matkę,
o ojca, czy żyją?
— Tam w skórze sosny
oddycha pieśnią
prostą
usłany grób ojca,
usłany grób matki.
Zabrały ich pola z wiatrem szerokim
i sosny z długą szyją.

1945 r.

W MIEŚCIE NIEDUŻYM

W mieście niedużym, w mieście nieobcym,
zasypanym śniegiem, kują, dzwonią,
w mieście fabryk i hut, żelaznych maszyn,
w mieście moim.

Jak urzeka dziewczyna
płacz niebieskie oczy
w falach serdecznej Odry.
Jej włosy rozplata niebo
i czarne pukle wiatr toczy.

W mieście niedużym, w mieście nieobcym,
oblanym zielenią i słońcem, kopią
i wiercą w kopalniach, gdzie węgiel
i ropa.

W mieście niedużym, w mieście nieobcym,
zasypanym śniegiem, kują, dzwonią,
w mieście fabryk i hut, żelaznych maszyn,
w mieście moim.

N A W S I

Gdzie gromada i młyn — stara praczka
w potoku koło kamienne wciąż pierze,
Jedrek czerpiąc w studni kiwa się jak kaczką
i Marychna wonna jak kwiatuśki świeże
Niesie w wiadrach dwie odbite twarze.

Próchnieje wieczór kwadratami okien,
chłopi pędzą konie gałkami łoża;
odjeżdżaj siwku nie tak wolnym krokiem!
Pękate worki zboża podrzucają wozy.

Furmanki wesoło wracają ze skupu,
fruwają im lejce, kola i dugi.
Woźnice poświstują, jadąc krzyczą, tupią.
Tak pędzi kolejną wóz pierwszy i drugi...

Wolają się drzewa: to brzożom oddaje
płacz wiejskich skrzypiec, Franek, syn owczarza.
On jest muzykantem, pierwszy we wsi grajek.
A oto znów Marycha i dwie w wiadrach twarze.

*) Z przygotowanego do druku tomu poezji.

MÓWIĄC o Wrześniu 1939, na ogół myśli się o barbarzyńskim najeździe hitlerowskich Niemiec na Polskę i dalszych konsekwencjach tego najeźdu. Mimo woli wytworzyła się w umyśle sugestia, że Wrzesień 1939, to „sprawa polska” wraz z jej wszystkimi odgłosami. Takie rozumowanie byłoby bardzo uproszczonym, wiadomo bowiem, że najeźdźcą hitlerowskim na Polskę był wynikiem przyczyn, które leżały nie tylko w przeciwnościach istniejących pomiędzy Niemcami a Polską, lecz w przeważającej mierze w skomplikowanej grze politycznej państw imperialistycznych, realizujących swe szerokie plany podboju świata, w których Polska miała wyznaczoną jedynie rolę powodu wojny, a nie jej przyczyny.

Odtwarzając genezę września 1939 r. musimy sięgnąć myślą do czasów pierwszej wojny światowej i jej skutków. Łańcuch państw imperialistycznych został przerwany w jednym ze swych najpotężniejszych ogniw — w ówczesnej Rosji. Dzięki bohaterstwu robotniczej klasy ludów, zamieszkujących Rosję, kierowanych przez partię bolszewicką w walce z burżuazją rosyjską i caratem powstało pierwsze w świecie państwo socjalistyczne — Związek Radziecki. Młode państwo radzieckie stało się siłą przyciągającą masy pracujące całego świata, wyzyskiwane przez imperialistów i uciskane pod względem narodowym. Pełna wolność narodowa, likwidacja klas eksploatacyjnych i rozmach budownictwa socjalistycznego w ZSRR wpłynęły i wpływa nadal rewolucjonizując na cały świat.

W tej sytuacji państwa imperialistyczne przystąpiły do interwencji politycznej, polityki przeciwko młodym państwom socjalistycznym. Formy interwencji były najrozmaitsze, począwszy od bezpośrednich działań zbrojnych, poprzez pomoc zbrojną, materiałową i dyplomatyczną dla hord reakcji rosyjskiej, aż do interwencji w oparciu o utworzone na peryferiach b. Rosji małe państwa burżuazyjne, takie jak: Polska, Rumunia, Łotwa i inne.

Zmiany form interwencji imperialistycznej przeciwko ZSRR nie były wcale przypadkowe. Bezpośrednia agresja własnymi armiami przeciwko ZSRR nie udało się na skutek bohaterstwa obrony robotników i chłopów radzieckich, oraz faktu, iż w zetknięciu z rewolucją rosyjską masy żołnierskie imperialistycznych armii rewolucjonizowały się, odmawiały swego udziału w wojnie, a ponadto stawały się groźnym czynnikiem rewolucyjnym w swych krajach macierzystych. Dlatego interwencje, ograniczając bezpośrednio agresję, wspomagały wydatnie Kołczaków, Denikinów, Wrangliów i podobnych w celu zduszenia rewolucji socjalistycznej oraz spowodowały wystąpienia państw sąsiadujących z ZSRR między innymi Polski.

Wielka Rewolucja Październikowa przyniosła wolność wszystkim narodom zamieszkującym terenów ówczesnej Rosji, w tej liczbie narodowi polskiemu. Na skutek faktu, że klasa robotnicza Polski nie była dostatecznie zorganizowana, władzę ujęła w swe ręce burżuazja, spełniając dyktando państw imperialistycznych i organizując w naszym kraju bazę wypadową przeciwko ZSRR.

Imperialiści nie ukrywali nawet celu, w jakim zamierzali wykorzystać burżuazyjne państwa na rubieżach Związku Radzieckiego. Foch na posiedzeniu „rady dziesięciu” w Paryżu mówił otwarcie:

„Na przykład, wojska polskie mogą być całkowicie wykorzystane przeciwko Rosjanom... koniecznym jest utworzenie takich baz we wschodnich krajach, składających się z szeregu niezależnych państw — Finland, Estończyków, Polaków, Czechów i Greków. Stworzenie takiej bazy pozwoli sojusznikom narzucić swoje żądania bolszewikom” (Por. Relat. of the USA, V. IV. p. 121).

Ta rola Polski jako bazy wypadkowej przeciwko Związkowi Radzieckiemu, określona przez państwa imperialistyczne była wiernie i kon-

sekwentnie kontynuowana przez polską reakcję. Jest bez większego znaczenia fakt, czy rządzące Polską czynniki sprzedawały naród w niewolę imperialistom francuskim do 1928 r., czy współpracowały ściśle z reżimem faszystowskim Hitlera pomagając mu realizować jego cele jak np. w wypadku napaści na Czechosłowację, czy przesił na służbę Wielkiej Brytanii w 1939 r. Zawsze wiernie służyły one celom imperializmu i interesom reakcji, zawsze realizowały teorię — doprowadzenia do uderzenia na Związek Radziecki przez siły międzynarodowego imperializmu. Interesy narodu polskiego nigdy przez sanację nie były brane pod uwagę.

Tylko w takich aspektach należy analizować wrzesień 1939 r. — w aspektach krucjaty imperialistycznej przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

FASZYZM w Niemczech wyrósł do olbrzymiej potęgi, dzięki pomocy międzynarodowej finansjery. Należy pamiętać, że w pierwszym dziesięciu lat po wojnie światowej i w narodzie niemieckim przebudziły się i wzrastały siły rewolucyjne zgrupowane w Partii Komunistycznej Niemiec i wokół niej. Ten wzrost sił postępowych zatywał imperialistów. Rewolucja w Niemczech, to koniec kapitalizmu w Europie. Dlatego też kapitaliści niemieccy uzyskali olbrzymią pomoc za granicą dla odbudowy przemysłu, w pierwszym rzędzie przemysłu wojennego. Dlatego też dzięki ich pomocy zagarnięta władza w Niemczech partia Hitlera — partia dyktatury burżuazji. Siły rewolucyjne Niemiec zostały krwawo stłumione. Pierwsze zadanie zleczone faszystom, hitlerowskiemu przez monopolistów zostało wykonane.

Akt drugi rozpoczął się od remilitaryzacji Nadrenii, przeprowadzonej bezkarnie przez Hitlera. Siły faszysty przeszły do ofensywy w skali światowej. Zdławiono siły hitlerowskich Niemiec i faszystowskich władz ludową Hiszpanię. Ośmielony Hitler zagarnął Austrię, rozpoczął atak na Czechosłowację i pobił gołostawiony w Monachium zagarnął ją całą. Zajął Kłajpedę i zwrócił się przeciwko Polsce — swemu dotychczasowemu sojusznikowi, z winy Becka i spółki. Zbliżył się krok po kroku do granicy Związku Radzieckiego, przeciwko któremu popychały go zresztą imperialistyczne rządy państw zachodnich.

Ze takie stanowisko państw imperialistycznych było akcją planową świadczą fakty. Churchill w swych pamiętnikach wydanych obecnie pisze:

„Osobiście nie byłem nigdy przeciwnikiem jakiegokolwiek szerzego zadocuczynienia Niemiec w sprawie przebiegu ich granicy wschodniej. Jednakże nie nastąpiła się ku temu żadna dogodna okazja podczas tych krótkich lat, które wzbudzały dużo nadziei”. (La Deuizème Guerre Mondiale Cz. I tom I str. 30).

Inny polityk brytyjski Austin Chamberlain w swojej książce „Down the Years” wydanej w 1936 r. pisał: „Nie ruszymy nawet palcem dla uratowania polskiego korytarza”.

Mógłby ktoś powiedzieć, że przecież Wielka Brytania udzieliła Polsce gwarancji w 1939 r., a więc miała zamiar wystąpić w obronie Polski przeciwko Hitlerowi. W istocie rzeczy chodziło nie o udzielenie pomocy Polsce, lecz o zreczyn manewr dyplomatyczny, pozwalający na wciągnięcie ZSRR do „wspólnej” akcji przeciwko hitlerowskiemu Niemcom, co gdy udałoby się Anglii i Francji pozostawiały na uboczu, zwalając na ZSRR ciężar wojny. Anglia i Francja nie umiały sprzeczyć wielkości swego udziału w wojnie, Francja obiecywała wystawić około stu dywizji, a Wielka Brytania aż... dwie w wypadku wojny z Hitlerem. Manewr był dość przejrzysty, zwłaszcza wobec odmowy państw zachodnich udzielenia gwarancji państwom bałtyckim, poprzez terytoria, których Hitler mógł swobodnie zaatakować Związek Radziecki. Należy pamiętać przy tym, że sanacyjny rząd liczył do ostatniego momentu na ugodę z Niemcami i gotów był iść na

ustępstwa. Jeśli tego nie robił to ze względu na to, iż musiał liczyć się z nastrojami społeczeństwa polskiego w olbrzymiej swej większości nastawionego wrogo do ugody z hitlerowskimi Niemcami. O takich nastrojach pisze ambasador ówczesnej Francji w Warszawie Noel w swej książce „L'agression allemande contre La Pologne” — „...nastój antyniemiecki wzmagal się, zwłaszcza wśród robotników i chłopów. Lud uważał od tej chwili wojnę za nieuniknioną i bliską. Wykazał on w obliczu niebezpieczeństwa wspaniałe wprost poczucie jednoci i zinną krew... Robotnicy i chłopcy wykazywali świadomość niebezpieczeństwa i byli gotowi do największych ofiar” str. 335.

Licząc się z opinią publiczną nie mógł więc Beck prowadzić polityki ustępstw wobec Hitlera, bo ustępstwa takie mogły spowodować obalenie i tak znienawidzonego, politycznego reżimu faszystowskiej sanacji.

Cytowany wyżej Noel pisze w związku z udzielonymi gwarancjami Wielkiej Brytanii dla Polski, że „Sam Beck był najbardziej zaskoczony ów zdarzeniem, które mu zostało złozone wieczorem 30 marca... Był to znak zapowiadający zbliżenie się wielkiego konfliktu. Toteż jeśli minister zachował jeszcze w swym najgłębszym przekonaniu, że z tą granicą dla odbudowy przemysłu, w pierwszym rzędzie przemysłu wojennego. Dlatego też dzięki ich pomocy zagarnięta władza w Niemczech partia Hitlera — partia dyktatury burżuazji. Siły rewolucyjne Niemiec zostały krwawo stłumione. Pierwsze zadanie zleczone faszystom, hitlerowskiemu przez monopolistów zostało wykonane.

RZĄD Wielkiej Brytanii nie miał zamiaru wykonać gwarancji, a celem jego było pchnięcie Hitlera na wschód, pchnięcie do wojny ze Związkiem Radzieckim. Dalszą grą brytyjsko-francuską była próba wciągnięcia do wojny ZSRR, z pozostawieniem oczywiście Związku Radzieckiego samego w walce z siłami hitlerowskich Niemiec. Próby te były całkowicie zdemaskowane przez rząd ZSRR.

Związek Radziecki od momentu swego powstania prowadził politykę pokojową. 8 listopada 1917 roku rewolucyjny Rząd ZSRR ogłosił „Dekret o pokoju” wzywając wszystkie państwa do zakończenia wojny. Związek Radziecki ujmował politykę pokoju jako politykę czynną i dlatego na arenie międzynarodowej występował z inicjatywą zawarcia paktu obronnego przeciwko państwom agresywnym. W całym świecie znana jest radziecka definicja agresji oraz konwencje przeciwko agresji zawarte przez ZSRR z szeregiem państw w roku 1933.

Dlatego ZSRR gotów był zawrzeć z państwami zachodnimi pakt obrony przeciwko agresorowi hitlerowskiemu, lecz jak wyżej wspomniano francusko-brytyjskie zamiary popchnięcia ZSRR do wojny z Hitlerem osamotnionego, i pozostawienia go bez pomocy, przeszkadzały w zawarciu takiego paktu.

Wiosną 1939 r. Związek Radziecki zwrócił się do Polski, ofiarowując swą pomoc i proponując zawarcie paktu wspólnej obrony.

Rząd Becka nie chciał i nie mógł przyjąć ofiarowywanej przez ZSRR pomocy z dwu względów. Po pierwsze dlatego, że sojusz obrony ze Związkiem Radzieckim otworzyłby oczy oszukiwanemu przez 20 lat narodowi polskiemu, pokazując mu istotnego gwaranta jego niepodległości, co w konsekwencji doprowadziłoby do upadku politycznego reżimu faszystowskiej sanacji, a po wtóre, że taki sojusz nie leżał w zamiarach państw imperialistycznych, które zdawały sobie doskonale sprawę, że Hitler nie śmiałby wówczas wywołać wojny, a to przekreślałoby plany tych państw. One chciały wojny, chciały by Hitler ruszył na wschód.

Oficjalne przystąpienie Francji i Wielkiej Brytanii do wojny, bez

jakiegokolwiek efektu praktycznego, w dniu 3 września powodowane było naciskiem mas ludowych Anglii i Francji. Rządy tych państw nie zamierzały wypełnić obcanych gwarancji.

„1 września 1939 r. Niemcy przekroczyli granicę polską. Było już zapozno na comiesię przez Chamberlaina na gwarancji udzielonej Polsce, chociażby naczyn świadkowie twierdzą, że premier nie był bynajmniej zachwycen entuzjazmem, z jakim wszystkie ugrupowania Izby Gmin zapowiedziały poparcie rządu w jego polityce, w opozycji przeciwko ostatniej agresji niemieckiej” (Malcolm Thomson, „David Lloyd George”, str. 466).

Po napaści Hitlera na ZSRR, Związek Radziecki wziął cały ciężar wojny na siebie grmiącą i rozbijającą faszysty hitlerowski i japoński militarizm. Czerwona Armia przyniosła całemu światu wolność od hitlerowskiej grozy. Porwane przkładem walki narodów radzieckich, pracujące masy ludowe krajów okupowanych pod wodzą rewolucyjnych partii wzięły czynny udział w walce z faszystem wnosząc poważny wkład w jego rozbicie.

Pomimo zdrady reżimu sanacyjnego naród polski walczył nieugięcie z najeźdźcą hitlerowskim. W pierwszym szeregu walki z najeźdźcą stawali komuniści polscy, czego przykładem jest bohaterka śmierci Mariana Buczka, który od razu z więzienia sanacyjnego poszedł do walki z Hitlerem.

W okresie okupacji postępową część społeczeństwa polskiego organizowała przez Polską Partię Robotniczą oraz poważną część batalionów chłopskich jak też i niektóre ugrupowania Armii Krajowej prowadziły nieustraszoną walkę z faszystowskim najeźdźcą, za przykładem narodów ZSRR.

Tak więc Polska stała się przedmiotem gry rodzinnej reakcji i międzynarodowych sił wielokapitalistycznych. Biologiczne wyniszczanie przez hitlerowców narodu polskiego nie obchodziło wcale rządów imperialistycznych. Od razu po klęsce wrześniowej zostały podjęte próby zawarcia pokoju z Hitlerem, inspirowane szczególnie przez Watykan, w wyniku którego miało powstać kadłubowe państwo polskie pod protektorem Niemiec. Jeśli próby te nie zostały zrealizowane zawdzięczać to możemy postawie mas ludowych w krajach zachodnich które wywierały nacisk na rządy zmuszając je do prowadzenia wojny antyfaszystowskiej.

Z tego też względu drugą wojnę światową określić możemy również śmiało jako wyzwoleńczą i antyfaszystowską, także w krajach kapitalistycznych, niezależnie bowiem od brudnych celów, jakie stawiały sobie w tej wojnie rządy, narody zmuszały je do prowadzenia walki antyfaszystowskiej.

Siły faszysty zostały rozgromione dzięki bohaterstwu Armii Radzieckiej, w wyniku której działań otrzymałmy wolność i możemy swobodnie budować Polskę Ludową. Polskę dobrobyt, postępu i sprawiedliwości społecznej. Niemniej jednak pamięć września niesie nam nakaz czujności i walki wobec tych wszystkich, którzy dążą do wywołania trzeciej wojny światowej. Chodzi tu nie tylko o remilitaryzację Niemiec, obronę napadniętą przez USA Korei, lecz walkę o POKOJ w najgłębszym tego słowa znaczeniu, na każdym odcinku pracy, w każdym warsztacie i gospodarstwie. Wiemy, że imperializm nasyła swych szpiegów i dywersantów do nas, choćby tylko w oparciu o wnioski płynące z ostatniego procesu organizacji wywrotowej w wojsku polskim. Naszą odpowiedzią organizatorom nowego Września w nna być wywołana praca w obrocie Pokoju poprzez wykonanie Planu Śześcioletniego, mocne skupienie się wokół Rządu Polski Ludowej i wzmocniona czujność przeciw kreciej robocie podgaczący wojennych.

Stefan Bronisz

JOANNA ŻWIRSKA

Co dzień piękniejsza moja Ojczyzna *)

Młodym oczom mogło się tutaj podobać. Lasy pełne dębów, brzozy i buków, jeziora otoczone ciszą i trzcinami, drogi, najczęściej asfaltowe wpadające w cienie drzew, przemikały się chylkiem nad parowami czy jeziorami. Tak — niezwykłe to obrazy chwytają za serce rozmaitością barw i kształtów. Nawet niebo było tu inne. Ale stare oczy przywykłe do wierzby nad krętym strumieniem, do krzywej sosny na płasku, do drogi pełnej wybojów, błota i kurzu — takie stare oczy nie cieszyły się spotyka-

Niby w takiej bajce mało jest sensu, a przemyślał ją do każdego dnia w PGR-ze — zobaczysz, że Szymczakowa ma świętą rację, prawie tak, jak miała nieboszczka Agata.

Michał oparł się wygodnie o ścianę domu, nogi wysunął jeszcze dalej na słoneczną płaszczyznę i odpoczywał. Rozmyślał sobie o dawnym i o dzisiejszym. Płaki tymczasem przeprękiwały się w czerwonych bukach parku, pies jakiś szczekał, a od pola dochodziła wesoła piosenka:



na po raz pierwszy jannością przyrody. Zresztą poza tą jannością, krył się także nowy i gorzki dla starych kości klimat. Deszcze tu były obfitsze, częstsze, rozciągały się trzępając po szybach, a w młocznym zapachu wilgoci. Wchodziła tu wilgoć w nieprzyzwoite chłody do wody kości, bo młodzież nie zwracała uwagi na deszcze i wilgoć, a co już dzieci tutaj urodzone, mogły całymi dniami chłapać się w jeziorach i nie im nie było. Wracali do domu wesole, czystutkie a rumiane nieczym polne maczki.

Stary Michał Kurzyp nie przyznawał się do tego, że go właściwie żarła tęsknota Narzekal „na kości” — a w zblakłych siwych oczach wciąż widział zastawioną chałupinę, krzywe wierzby i piasek mazowieckiej drogi. Nie, dziwota — tam ojczyzna, gdzie źle — przyzwyczaił się od małego tak myśleć i tak żyć w biedzie — to dziś, gdy skuszony wreszcie namowami syna, zgodził się na przyjazd, nie mógł tak bardzo pokochać nowego życia. Zastawiona chałupa już się rozpadała, a 2 hektary ziemi wzięła córka, która jedna z pierwszych we wsi gardłowała za spółdzielnią produkcyjną i już gospodarzy sobie na wspólność. Pisze, że nowy dom ma, że teraz wie po co żyje i że dobrze żyje. No, cóż, daj Bóg zdrowie Agnieszki, daj. Najmłodszą była, najdatniejszą, to i rozum miała jakiś taki, sposobny od tych nowych czasów. Choć i Stachowi nie przyganić nie można. Traktorystą się zrobił po jakimś tam kursie i orze pęgeerowską ziemię...

Michał Kurzyp westchnął. Westchnienie to jednak nie było ani żalem, ani smutkiem — było ulgą.

— Psia ino... — mruknął pod nosem, wyciągając nogi na słońko, aby się wygrzały z tej wilgoci — ino, ino psia... ileż dobra mieli panowie, całe smaty ziemi nie do pojęcia, a teraz wszystko dla narodu, dla wspólnego dobra. Ho, szkoda, że Agata zmarła. Zobaczyłaby i ona, biedaczka, te nowe nowości. I konca wojny nie doczekała, zaduszona przez atak serca, przez harowanie całego życia, przez występowanie się na cudzym. A patrzyłaby się, a cieszyła, bo zawsze jej po głowie chodziły mrzonki „równego rozdziału ziemi dla pracującego człowieka”. „Zobaczysz stary — mówiła — zmienię się chłopką dola. Sprawiedliwie się zmienię. Pewno już nie dla mnie, ale doczekają nasze dzieci, rymio patrzeć, a doczekają”. Święte słowa Agaty, bardzo święte. Dzieci, doczekały. Doczekał i stary Michał, co już na grzbiecie 60 lat z górą nosi. I biedy się naład aż na wyrost przez te swoje lata, to i zgariaci, przysięgi się trochę do ziemi, jakby już, psia ino, wołała ta ziemiaćka do siebie. Poczekaj, nie tak szybko! Ochoty mu wiele jeszcze zostało do życia. Jeszcze na to; tamto popatrzyć war, to, jeszcze tyle do zobaczenia zostało. Człowiek już taki jest, że go zawsze pali ciekawość, co będzie dalej i rozgląda się ciekawie, a przód i rozgląda się ciekawie, stary też, choćby i nogami włożył, a ciągle ma serce gorące z tej ciekawości oglądania każdego wstającego z nocy dnia.

A każdy nowy dzień, to jak w tej bajce, wymyślonej przez Sabinę Szymczakową: „wstajesz człowieku rano, a tu dziwo: drzewo ci wyrosło, nie było go przecie wczoraj, złote jabłko ma. Ani się obejrzałeś, a tu dom stoi, błyszczący szymbami, dzieci machają rączkami — rosną jak te złote jabłka”.

Pod lasem, daleko, na szerokim polu
Hej orze moja dziewczyna
Hej orze traktorem.
Hej przeorała skiby
i pod słońko patrzy
hej moja dziewczyna
przodownia pracy...

Młody chłopak nie żałował głosu. Widać było że ze szczerością tak śpiewa, że szczęśliwością wielkiej:

Hej patrzcie ludzie patrzeć
hej szczęściu nie dziwujcie
hej nigdy tak nie było
hej szczęścia nie żałujcie...

Przytakiwał mu głową Michał Kurzyp i po swojemu wymrukiwał melodię. Skoczna była, łatwo pamiętna, śpiewali ją wszyscy — w PGR-ze. Tylko to hej — było trochę żałosne, tęskniące i szło do samego serca.



Na płot skoczył kogut i zapiał. Zaraz też melodia słuchanej piosenki oderwała się od uszu jak zdumienia wiatrem, uciekała, przepadała nie wiadomo gdzie. Teraz tylko kogut piał donośnie, niefrasobliwie i zawadliwie.

— Widzeliście, jak się to drze! Kurzyp drgnął, otworzył oczy, popatrzył ku dróżce. W rozkwitłych kolorowo malwach, ukazała się najpierw biała chusteczka, a potem już cała — Sabina Szymczakowa. Szła lekko, jakby miała zamiar rozpocząć tańcować. Ze to czas figury kobietom zgrabne zostawia, a gębe orze w zmarszczki — pomyślał trochę z żalem Michał i podkurczył nogi, bo to tak nie bardzo przysiojnie pokazywać Szymczakowej gołe łapska. Poprawił się powitalnie, ręką po siwej czuprynie przejechał i odkaslnął parę razy.

— Coż to, świętujęcie Michale? — zapiszczała cieniutko, choć bardzo przyjemnym, prawie dziewczęcym głosem. Michał uśmiechnął się z jej przyjazdem. Już to Szymczakowa zawsze miała pełne nareczenie wiadomości, chętnie je roznośiła po całym majątku. Mógł jej nie widzieć pół godziny, a już przez te pół godziny nabierała tyle różności, ile inna kobieta i w tydzień nie potrafiłaby znaleźć. Teraz też jeszcze jej nie nie odpowiedział, a już podawała rozmaite nowiny: więc czy Michał wie, że do PGR-u przyjechali praktykanci, właśnie dopiero co, że te chłopaki praktykują, a jak się wyuczą w szkołach i wypraktykują przez lato, to mogą kierować majątkami? Czy wie, że do łobka Walczka, ta z pełnej brygady, przyniosła córkę co ma oczy że tylko

je ukraść, takie niebiesciutkie i wielkie i że pielęgniarz, przysięgała, że nigdy czegoś podobnego nie widziała. Ze koń „Bystry” najadł się czegoś i pewnie zdechnie...

— Nie „zdechnie” — a „padnie” — poprawił ją Michał przerywając szybko gadanie — koni, zwierze uczciwe — pada — jak żołnierz. Napracował się i pewno ze starości padnie...

Szymczakowa machnęła niecierpliwie ręką. Przysiadła na ławce, zapatrzyła się w czerwone malwy, potem bystrym, oczkami obrzucała Michała. Powiedziała opryskliwie:

— Ze starości? Nie mówcie o starości! Ja tam mam 50 i 5 lat i jak młoda dziewczucha wszystkiemu jestem ciekawa. Nie gadajcie Michale o starości! To wam powiem, tylko pamiętajcie, w sekrecie wam to mówię. Moja Antośka, wnuczka przecie, a ja jakbym chciała też bym ten traktor tak prowadzić jak ona... śmiejecie się?

— Nii — Michał Kurzyp skrył uśmiech pod swym wąsem — co mam się śmiać, toż zdalna jesteście, wiadomo.

— Ja myślę! — powiedziała takim głosem, że niechby tylko za przeczył jej zdaność, miałby się! Już to ona, Szymczakowa, dałaby mu za niewiarę! Poprawiła kosmyk wcale nie siwych włosów wymykających się spod chustki i założywszy ręce na poręcz ławki, mówiła dalej, w sekrecie:

— Zagadłam ci ja do tego traktora. Wcale nie straszny. Jak, myślicie, poprosić Antośkę, żeby mnie nauczyła?

Michał strzelił się. Wiadomo, Szymczakowa była żywa jeszcze jak jaskra, dojakimi trzęsła jak chciała, wszystkie jej musiały słuchać, ale żeby traktor... żeby na traktor siadła...

— Taką maszyną nie wielkiego. Dałabym se radę, ale widcie, ludzie to czasem są głupi. Pośmiewisko by ze mnie zrobili. Machnąć muszę na traktor, choć taką mam chętkę...

— Spróbujcie — poradził jej Michał poważnie. Przyjrzała mu się. Chyba nie drwił? Ani oka nie przymrugał, jak to miał w zwyczaju, gdy się z kogo wysmiewał. Ale Szymczakowej nie podobala się jego rada.

— Ja tam przeważ swoją mam! — rzuciła z przechwałką. — Swoich ciężko pracujących lat na byle śmiechy nie rzucić. Obojętne są zajędam. O krowy dbać muszę. A wiecie? tak przebiegały, że ja... tego... przodownia naby...

zostaje, a tylko bieda, to i machnęłam ręką, na tę chłopską — doię — niedoie, co to nareszcie odpłatała się od chłopca na wieki wieczne. Z początku to dzieci chciały swoją gospodarkę mieć. Łatwo było mówić „swoją”, a tu ani konia na razie nie było, ani innego inwentarza, to ja mówię dzieciom tak: jakcieście machnęły na biedę, to machajcie i na „swoje”, a do wspólnego — na „nasze” chodźmy. Posłuchały dzieci i dobrze na tym wyszły. Jasiak, ten najstarszy to jak wiecie w ogrodzie pracuje z żoną, Zoską ze mną w obozie, dobrze się sprawnia, a Antośka — traktorzystka, to widziecie, jak se tak ogarnę pamięcią dawne lata, człowiekowi aż się w głowie mąci, że mogło być tak niesprawiedliwie na świecie.

— Tak, tak — kwnął głową Kurzyp — nie do pomyślenia kiedyś było takie wspólne gospodarowanie, trudno się jeszcze ludziom do tego wzwyczaić...

— Ee, — przerwała Szymczakowa — jak komu. W naszym PGR-ze — co dzień to pięknie. Co dzień to coś lepszego. Pewnie, jeszcze nie ze wszystkim jest jak trzeba, ale widziecie młodzi rosną, młodzi są od nas silniejsi, dadzą radę.

— Tak, tak — przyświadcza Kurzyp — ci co się tutaj porodził, albo urodzą, dla nich wszystko będzie lepsze.

— A co? Dla nas nie? — Szymczakowa poderwała się z ławki, przysłoniła oczy, wyjrzała gdzieś ponad malwy. — Krowy idą już z pola... czas na mnie. A wy co, Michale? Wciąż wam krzywe wierzby i wyschły strumyk w głowie? Pamiętać trzeba jak było, ale... mówię wam, to co jest dziś — to i porównać nie można, lepsze, piękniejsze, jak mówię moja wnuczka Antośka i ja jej przyświadcza, bo dziewczucha dobrze ma w głowie, mówię wam.

Tak, tak — mruczył Michał i też wstaje. Przeciaga się. Kości aż trzeszczą, to od wilgoci reumatyzmu nabrali, nie inaczej. Szymczakowa roześmiała się dziewczęcym śmiechem, gdyby się tak odwróciła, to kto by i pomyślał, że młoduha jaka, a tak... no i śmieje się i czego...

— Ale i ja wam coś powiem... wy, Michale, za swoją chlewną premię macie dostać. Tak, sprawiedliwie mówię. Chlewnie prowadzicie wzorowo, tuczniki, aż młodo na nie parzeć, różowutkie, tłuste, znacie, że dogłęb mają rzetelny. Hm, hm, Michale — starszy oboje, ale młodszym wcale nie ustępujemy w robocie, nie...

Wyszył na podwórzu rozmawiając już teraz o sprawach czysto gospodarskich. Szymczakowa o mleczności krow, a Kurzyp o kilogramach i słoniach tuczników. Michał przydeptał niedopałek papierosa. Na oborach, stajniach, chlewniach i szopach, wielkie białe napisy głosiły: Palenie surowo wzbronione — trzeba było słuchać tego ostrzeżenia. Bo to, marna isierka, a ile by szkody mogła wyrządzić.

Z pola jeszcze dożywał się traktor. Niestrudzony, młody głos wciąż śpiewał:

...hej nigdy tak nie było
hej szczęścia nie żałujcie...

— To do mojej Antośki śpiewa tak Walek Gawronszczak. Pobiora się pewnie na jesień — powiedziała Szymczakowa, poprawiając niesforny lok wysuwający się spod chustki.

— Tak, tak — przyświadczył Kurzyp — nigdy tak nie było... i mrużąc pod nosem znajomą melodię podreptał w stronę chlewni.

— A pamiętajcie — krzyknęła za nim Szymczakowa — nie mówcie nikomu...

Z trudem domyślił się, że chodzi jej o ten traktor. Dziwna kobieta! Chęć miała na naukę, to znowu taki wstyd, jakby i komu powiedzieć? Tyle się różności dzieje teraz w kraju, to nawet jakby trochę dnia Sabina Szymczakowa poprowadziła na pole traktor — to zdziwiby się kto? Na pewno nie. On, Michał Kurzyp — ani by mruknął.

Joanna Żwirska

*) Z tomu opowiadań o PGR.



ALEKSANDER TWARDOWSKI

DWAJ ŻOŁNIERZE

(Z poematu „Wasył Tiorkin”)

W polu zamięć, zawierucha,
Wojna grzmi na cały świat.
W izbie grzeje się starucha
I gospodarz — stary dziad.

Gdzieś tam wybuch, jakby w niebie
(Znamy w plecach dreszczyk ów),
Tiorkin zatem znów u siebie,
Czyli — jest na wojnie znów.

A ten starzec — boska kara! —
Jakby w uszach watę miał.
— Cóż, przeleci, nie drzyj stara —
To znów mruknie: — Krótki strzał...

Baba wlaża na piec właśnie,
W ciepły się zaszyła ką.
Spać się chce, ale nie zaśnie:
Męża obserwuje stąd.

Beształ ją — za mało dbała,
Zyło się, mijały dni,
Zawsze przed nim klucz chowała
Od kredensu i od drzwi.

Starzec szkła na nos założył,
Krzywił się do stołu siadł,
Przed tym jeszcze szubę włożył,
Piłę by naostrzyć rad.

— A uparta, stara klempa,
Nie nie bierze, taka tępą! —
Tiorkin więc tłumaczy mu:
— Pewno jej tam czegoś brak...
Wziął ostrożnie, patrzy, szuka,
Nie wypuszcza piły z rąk.
Jak wyjęły z wody szczupak
Zatańczyło ostrze wkrąg.
Zgrzyta, staje. Zaklął stary,
Tiorkin wstał i mówi tak:
— Trzeba zrobić w zębach szpary,
By nabrały trochę ichu.

Spojrzyć — toż to radość cała:
Ładnie, zręcznie, wmię, raz dwa!
Taka piła, już zleżała.
A jak mu posłusznie szła!
W tę i nazad — i gotowe.
— No cóż, dziadku? Proszę, bierz.
Spojrzo, lepiej rznie niż nowa,
A narzekać tylko chcesz.
Wstyd więc gospodarza bierz.
Spuścił oczy stary dziad.
— Ot, co znaczy my żołnierze.
Po czym z piłą w kacie siadł.

A wtem baba: — Plecy stare
Ma mój żołnierz, ślepy sam...
Popatrz lepiej co z zegarem.
Z tamtej wojny jeszcze mam...

Zdjął więc zegar. W nim maszyna
Cała w bieli, niby młyn,
Na sprężynach pajeczyna,
Pająk wbił się, niby klin.

Gdy go dziadek w chacie nowej
Wieszał, miał dwadzieścia lat.
Ot, na ścianie lśni sosnowej
Teraz jasny po nim ślad.

Tiorkin wszyskie części zgarnął,
(A do licha było ich!).
Gwizdnął: — Hm, interes marny.
I, kiwając głową, zcichł.

Jakiś dźwięk gdzieś zasunął,
Coś tam w kurzu grzebał, kładł
W ciemne wnętrze, chuchnął, splu-
[nął, —]

I co myślisz — ruszył grat!
Strzałka również bez zastrzeżeń,
Która to godzina jest?

— Ot, co znaczy my, żołnierze! —
Stary wzruszył się do lez.

Mruka, chłapie. A starucha,
Przyłożywszy dłoń do ucha
Z pieca swój natężył słuch:

— Idzie! A to galgan! Zuch!... —
Uśmiech wykwitł na jej twarzy,
A tymczasem galgan ów
Rzekł: — Cóż, może tłuszczyk pod-
[smazuje?]

Mógłby pomóc przy tym znów,
Ale baba w krzyk aż zbliżała:
— Nie ma tłuszczy! Nie ma sadi!

Tiorkin: — Babcu, co tu kryć.
Nie był wróg — tłuszczyk musi być!
Przecież tłuszczyk nie złoto żadne! —
Wargi mu w uśmiechu drżały:

— Cheesz babuńciu, to odgadnę,
Gdzie ty w izbie trzymasz go? —

Baba z trwogą z pieca schodzi,
Trudno jej się na dół zwleć.
— Pan Bóg z tobą... czy się godzi...
Swego by ci lepiej strzeć...
Gościa łokciem dziad uderzył,
Wzrok ma chytry, jakby drwił:

— Ot, co znaczy my, żołnierze.
A ten tłuszczyk pod kluczem był.

Baba zaś już gospodarzy —
Szpera gdzieś tam, wreszcie smaży.
Dwa jajeczka w tłuszczyk ten — ciach!
I zamartwia się aż strach.

Ech, zakąski Jajecznic! —
Zdrowie podtrzymują w nas.
Taki to rosyjski zwyczaj
Gołnąć sobie przed tym raz!

Po jednemu! Dla kurażu.
Zebys lepszy humor miał!
— To dla zdrowia, gospodarzu,
Doktor mi na drogę dał.

— Trza odkręcić łeb manierce,
Pij, ojczulku, rozgrzej serce! —

Dziad zachlśnił się i zblił,
Wyprostował się i siadł.
Kromkę chleba wziął z koperkiem,
Zuje ją i ma już dość.

A nasz zuch swoją manierką
Zaczął mu nad uchem trząść:
— Wszystko jedno, tak czy owak,
Taka kropka — to niemowlak,
Nie zagrzeje w boju nas.
Pijmy dziadku!
Jeszcze raz!

I tak gwarzą po bratersku,
Ramię do ramienia łgnie,
Prosto, szczerze, po żołniersku,
Obaj gorączkują się.

Aż zawrzało w dziadku: — Chwalisz
Wciąż walonki swe. Azaliż
Nie wiesz jaki mają brak?
Dobre są? A uszyć — jak?
Nasiakają. But, gdy zrzuć
Wszędzie suszyć bym go mógł.
Daj sukienne mi onuce,
Wtedy bracie — jestem bogi! —

Rozmawiają tak z humorkiem.
Słyszą: znów gdzieś poisk padł.
Nawet nie drgnął Wasył Tiorkin
Nawet nie drgnął stary dziad.

Pychą się naszożył stary,
Widać zna pocisków smak:
— Nam odłamki się trafiały
W kaszy. Nieraz było tak:
Wpadnie, a ty, tyżka, zgarniasz,
Trafi w ciebie — śmierć jak grom! —
Słaby dziadku militarnie,
Weale, ojciec, nie znasz bomb.
Bomby to dzierlatki gniwne,
Do nich się z nauką bierz.
— Ale gadaj, masz zapewne
Rzecz maleńką? —
— Jaka?
— Wesz.

Macza w tłuszczyu chleb, zajada
Tiorkin, patrząc tu, to tam...
Wreszcie się uśmiecha blade
I rzeki: — W pewnej mierze mam... —

— Masz? Toś żołnierz. No, to brawo!
Ze mną gadać tu masz prawo.
Żołnierz, chociaż młody chwyt.
Żołnierz żołnierzowi brat.
A więc gadaj, na sumienie,
Nie masz co przede mną kryć,
Naturalnie punkt widzenia
Tu wojskowy mps być.
Powiedz mi: czy fryc się daje
Pobić, czy też może nie?

— Czekaj, dziadku, wpierw się
[najem,

Zawsze lżej gdy człowiek zje. —

Je powol i spokojnie,
Cześć jedzeniu oddać rad.

Tak to ładnie, tak dostojnie,
Spojrzyś — też byś zaraz jadł.

Już patelnię wyjął tłusta,
Nagle jakby podróś — wstał,
Otarł swoją chustką usta

[szuki stari,
Wytarł ręce — tak wypada —
I, jak to w zwyczaju jest,
W stronę baby, potem dziada
Zrobił pożegnany gest.
Plaszcz poprawił (żle przylegał,
bowiem się przekrzywił pas),
Znów się skłonił. — Jak tam
[zegar? —

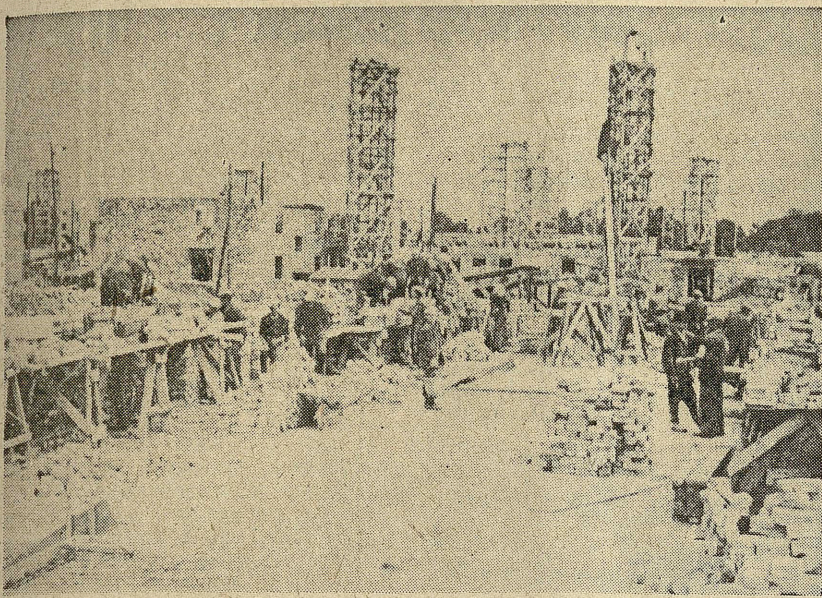
Spojrzał — idzie cały czas.
Wszystko sprawdził, dopasował
I, jak gdyby nigdy nie,
Rzekł, gdy już się wyjść szykował:
— Da się, ojciec, pobić fryc...

W polu zamięć, zawierucha,
Wojna grzmi na cały świat.
W izbie grzeje się starucha
I gospodarz — stary dziad.
W sercu Rosji ukochanej,
Gdzie się srebrzy śnieżna nć,
Idzie, wiatrem kołysany,
Wasył Tiorkin — wroga bić.

przełożył WŁODZIMIERZ BORUŃSKI

JERZY SKOKOWSKI

Z MIASTA STALI I BAWELNY



KIEDY wychodzę z dworca na ulicę jest wczesny letni ranek. Rubinowe słońce wita wilgotne od rosy chodniki, po których gdzieś krzątają się już doroczy uzbrojeni w wiklinowe mioty. Jest jeszcze chłodno. Słońce nie zdążyło ogrzać powietrza, domów, drzew, na których niespokojnie popiskują obudzone wilgi.

Na skrzyżowaniu skrzypią wozami mleczarskiego woza. Parsknieły nozdrami 2 bulane, wielkokopytne percherony. Dwie, cztery i jeszcze dwie... parami znosi z wozu pomocnik starego mleczarza banki i skrzynki z mlekiem, ustawiając je z namysłem przed kratą baru mlecznego, za którą krzątają się białe ocepcone, odziane w białe fartuski, dziewczęta.

— Hoże młodzi... mrućmy podkrecając siwego wosa mleczarza i zaraz pokrzykuje na pomocnika:

— Antos! A uwijaj się... ludziska zaro do fabryk wychodzą, a my jeszcze na Zawodzie mamy jechać...

Ide dalej w jaśniejący poranek, przyjaźnie uśmiechnawszy się na pożegnanie do pocziwie naburmuszonego wosa. Za plecami cichnie turkot oddalającego się wozu.

Powoli ulica ożywa się. Z oddali zaczynają wyc syreny. Najpierw jedna, potem dwie, więcej i jeszcze więcej, teraz słychać ich chyba kilkanaście. Idą ulicą przyspieszając kroku. Znają dobrze głosy swoich fabrycznych syren, którymi co rano wita ich budzące się miasto. Idą małymi grupkami. Witają się, uśmiechają do siebie, rozmawiają. Przeważnie młodzi. Starsi idą statycznie, skracając sobie drogę do fabryki opowiadaniem o swych codziennych kłopotach i radościach. Ci pamiętają jeszcze dobre czasy bezrobocia, strajków i chybliwego pływaka świecy w nędżnych nieopalanym mieszkaniach.

Na placu przed Ratuszem stoi pomnik wdzięczności dla Armii Radzieckiej. Stojący na czołgu tankista ma poważną, skupioną twarz. Wyciągnięta przed siebie ręka przyjaźnie podrażnia idących do pracy ludzi.

Jest coraz słoneczniej i cieplej.

*

JEZELI się mówi o Częstochowie, trzeba mówić o przemysle częstochowskim, który ukształtował oblicze miasta, miasta żelaza i włókna. Tradycje bowiem hutnicze i włókiennicze są w Częstochowie bardzo stare. Już 3 maja 1877 roku Władysław J. Opolski, nadając braciom Jaskowi i Niczkowi prawo wytopienia rud żelaza w pobliżu Częstochowy, w zamian za co zobowiązuje ich do oddawania na dwór księcia co tydzień żelaza w ilości wystarczającej do wyprodukowania dwóch pługów. Ten akt nadania zachował się do dzisiejszego dnia i jest najstarszym dokumentem hutniczym w Polsce.

Przemysł częstochowski we właściwym tego słowa znaczeniu rozwinął się dopiero w pocz. XIX w., kiedy to z inicjatywy Staszica i Lubieckiego przybywa do Częstochowy około roku 1820 kilka tysięcy tkaczy-emigrantów z Czech i Niemiec. Pracują oni nakładczo. W latach późniejszych większość z nich przenosi się jednak do Łodzi i Żyrardowa, gdzie możliwości zarobkowania były wówczas lepsze niż w Częstochowie.

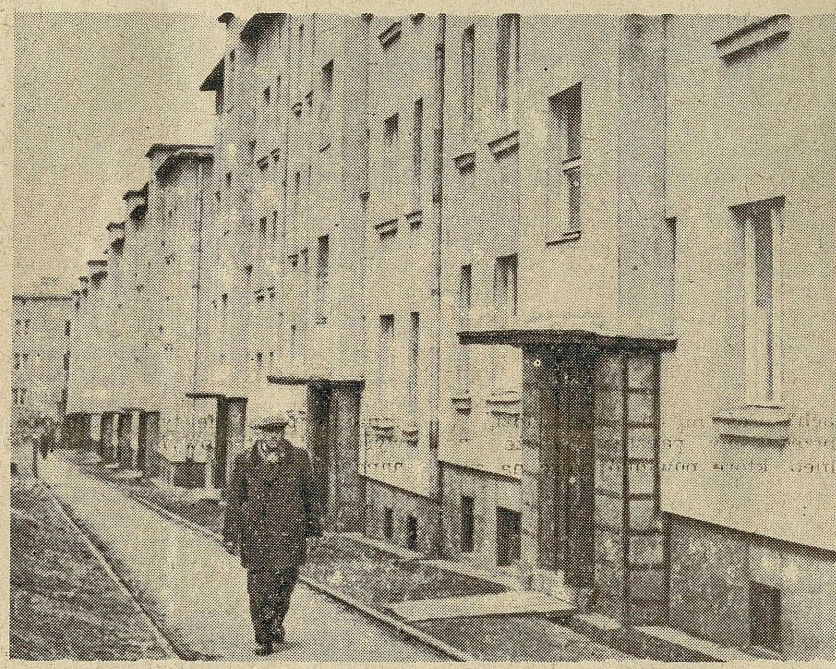
Zasadniczy wpływ na rozwój miasta i przemysłu wywiera uruchomienie w roku 1848 kolei Warszawsko-Wiedeńskiej.

Po roku 1872, obcy kapitał zaczyna lokować duże sumy w rozbudowywujących się częstochowskich zakładach przemysłowych. Mniej więcej w tym czasie uruchomiona zostaje nowa linia kolejowa: Częstochowa-Herby. Powstają nowe rynki zbytu. Miasto, leżące na skrzyżowaniu ważnych linii komunikacyjnych, położone nad czterema rzekami, posiadające bogate złoża węgla, gliny, rudy żelaznej, kamieniołomy, otoczone lasami, leżące w pobliżu Zagli Dąbrowskiego, a więc tym samym w pobliżu niezbędnego do produkcji węgla, — ma jak najlepsze warunki rozwojowe. Dużego znaczenia ma również tani ro-

botnik napływający ze wsi. Sam surowiec dostarczany jest drogą morską do Hamburga, a stamtąd przez Herby do Częstochowy. To też miasto rozwija się szybko.

*

W ROKU 1857. Częstochowa liczy 5000 mieszkańców, w ciągu 20-tu lat liczbą ta wzrasta niemal, trzykrotnie, w ciągu następnych 20 — ośmiokrotnie. Powstają wielkie zakłady włókiennicze, budowane przez fabrykantów reprezentujących obcy i rodzimy kapitał: „La Tschenstochowien” („Częstochowianka”), „Peltzer”, „Motte”, „Warta”, „Stradom”. Właściciel powstałego w Warszawie, w roku 1870 Towarzystwa Zakł. Metal. Bernhard Handtke, zajmujący się głównie fabrykacją drutu, nakładem zwykły cen surowca, postanawia



wykorzystać okres częstochowskiej „prosperity” i wybudować tu hutę żelazną. Budowę huty powierza synowi swemu, Henrykowi Handtke, który uruchamia ją w roku 1898. Miasto rozbudowuje się ale w sposób bezplanowy (rozrzucone na obszarze 46 km²) w sposób tak charakterystyczny dla kapitalistycznego budownictwa. Nowopowstające domy robotnicze, o ciasnych pozbawionych słońca izbach, w których robotnicy gnieźdzą się całymi nieraz rodzinami, nie mogą zapewnić im minimum wygod i warunków zdrowotnych. Przed wojną, obok istniejącego tu t. zw. wielkiego przemysłu, reprezentowanego przez rozsiadane na obszarze miasta i powiatu: fabryki włókiennicze, kopalnie rudy żelaznej, huty szkła i żelaza, zakłady przemysłu ceramicznego, a więc cegielnie i wapenniki, zakłady przemysłu chemicznego, fabryki zapalek, papieru, farb, kapeluszy i guzików; — istniał również t. zw. przemysł „mały”. Ten „mały” przemysł stanowił 1003 zakłady drobnej wytwórczości, o blisko 400 (słownie: czterystu) specjalnościach. Zakłady te, a raczej zakładziki, produkowały między innymi: wózki dziecięce, latarki, igły, części rowerowe, dewocjonalia, ozdoby choinkowe, tureckie fezy na eksport i tak dalej. A zresztą łatwiej byłoby stwierdzić czego nie produkowały, boć przecie, jak już wspominałem specjalności tych było czterysta.

Oczywiście taki stan rzeczy nie mógł pozostać bez wpływu na kształtowanie się oblicza i atmosfery ówczesnej Częstochowy. Obok tłumy braci robotniczej, wyżywiającej się skrupułów przez panów fabrykantów, ministerujących przy ołtarzu Dolara, Franka, Marki i Złotego, tłumy żyjącego w skrajnej nędzy w strachu przed widmem redukcji i bezrobocia; — żył sobie, głaszcząc i poklepując pęczniące brzuski, klan właścicieli dobrze prosperujących fabryczek, klan handlarzy, dorobkiewiczów, klan kołtuniaków mieszcuchów.

Przemysł wielki, w okresie przedwojennym, albo nie rozwijał się w ogóle, albo też rozwijał się leniwie i to tylko wówczas i o tyle, kiedy i o ile, dogadzało to panom Handtke, Motte i Ska, wyznającym złotodajną zasadę otrzymywania maksymalnych zysków przy minimalnych wydatkach, inwestujących nie-

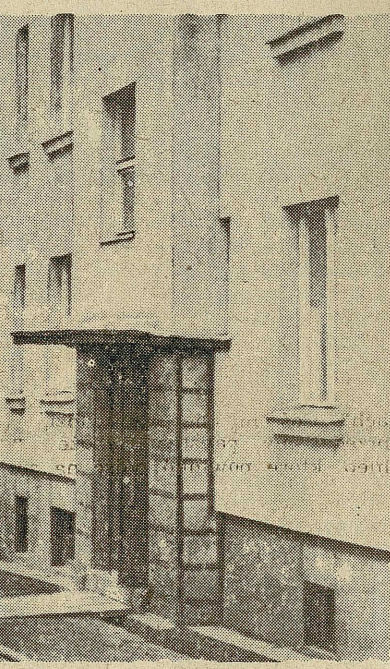
chętnie, wyśrubowujących wzrost produkcji, przez przedłużanie dnia pracy, zmniejszających koszty własne, przez obniżenie płac robotniczych. Proletariat częstochowski, buntował się przeciwko siejącym szkodę krzywdę i głód. Organizował strajki pochody i demonstracje. Czerwona Częstochowa ma piękną kartę w dziejach walk rewolucyjnych w Polsce.

*

JAK było kiedyś. Dziś na Rakowie stoją nowoczesne bloki mieszkalne. W słonecznych jasnych domach, robotnicy wraz ze swymi rodzinami, po pracy, słuchają radia, czytają gazety i książki. Teatr, biblioteki, muzeum, świetlice stoją otworem przed tymi, dla których niegdyś jedyną osiągalną rozrywką była butelka wódki. Karczmy, knajpy i szynkownie zastąpiły Gospody Ludowe i stołówki pracownicze. Wraz z promieniami słońca, do nowych robotniczych mieszkań wtargnęła radość i uśmiech.

Rozbudowują się przedmieścia: Leszno, Dąbie, Kucelin, Zawodzie. Projektowana rozbudowa samej tylko dzielnicy Raków, w której rosła nowoczesne osiedle robotnicze, wyraża się imponującą cyfrą 40.000 mieszkańców. W przeciągu ubiegłego roku oddano w samej Częstochowie do użytku 13 bloków mieszkalnych i 12 obiektów socjalnych, przemysłowych i administracyjnych. W bieżącym roku wybudowano już między innymi hale garaży MKZ.

W planach na rok bieżący, Zjednoczenie Budownictwa Miejskiego projektuje oddanie do użytku łącznie 1080 izb mieszkalnych i ponadto 77 izb przeznaczonych na przedszkola.



Cyfrы rosną i rosną domy. W blachowni, dla pracowników huty, w Borku, Myszkowie, Pankach, Wręczyce, Gnaszynie, w dzielnicy Zaczucie, przy ulicy Sobieskiego i Konopnickiej. Wystarczy uświadomić sobie fakt, że plany rozbudowy Częstochowy na rok bieżący są, pięciokrotnie większe, w stosunku do planów zeszłorocznych, ażeby zdać sobie, choć w przybliżeniu, sprawę z tego, jak szybkim jest tempo częstochowskich przemian. Miasto rośnie. Dziś już na terenie Częstochowy istnieje 91 szkół i przedszkoli oraz 2 wyższe uczelnie, na których studuje około 1000 młodzieży akademickiej. Są to: powstała w 1947 r. Wyższa Szkoła Ekonomiczna i otwarta w dwa lata później Wyższa Szkoła Inżynierska. Dla tej właśnie młodzieży, czę-

stochowscy murarze budują na północy miasta w okolicy dawnych koszar Zawady, dzielnicę akademicką. W ramach większych inwestycji zostanie przebudowany stary dworzec, a na jego miejscu stanie wielki dworzec z głównym wyjściem na jedną z centralnych ulic miasta, Alję Wolności. W najbliższym czasie Częstochowa otrzyma linię trolejbusową, zmontowaną całkowicie ze sprzętu wyprodukowanego w Związku Radzieckim.

W ubiegłym roku, w ramach czynu pierwszomajowego, doprowadzono i rozprawdzono linie kanalizacyjne na terenie dzielnicy Raków, pomimo, że przed wojną uznano projekt skanalizowania tej dzielnicy za niewykonalny.

*

WCZESTOCHOWIE rosną nowe zakłady przemysłowe, nowe osiedla mieszkaniowe, gmachy użyteczności publicznej. Rosną też i nowi ludzie.

Sapała poznałem na budowie przy ulicy Sobieskiego. Z początku rozmowa nam się nie kleiła. Sapała był skrupowany. Dążył co bądź obcy człowiek, a do tego z Warszawy i dziennikarz. Dziwił się, że przyszedłem właśnie do niego.

— E, lepiej byście poszli do dyrekcji, powiedzą wam to co i ja, tylko że lepiej i dokładniej.

— Widzicie ja bym chciał, żebyście mi o sobie opowiedzieli.

— O sobie? — Sapała jest zaskoczony, czerwieni się jak chłopiec i dodaje zaenowany:

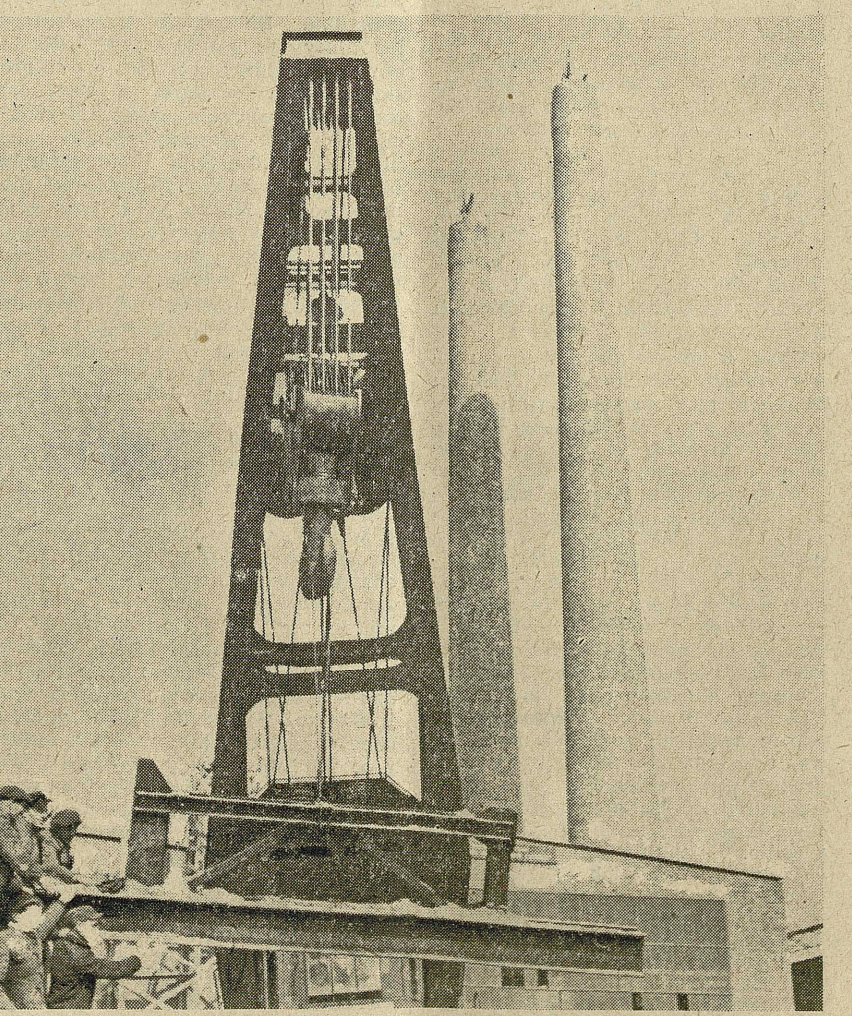
— Nie umiem mówić, a tam i tak wam powiem wszystko. I znowu wskazuje na drewniany barak dyrekcji. Ale po chwili, pierwsze łody zostają przełamane i Sapała mówi. O sobie, o swojej pracy, o warsztacie. Bo Sapała jest ślusarzem. I to niezwykłym ślusarzem. Syn małego chłopca, dziś członek Partii i racjonalizator, jest jednym z tych, którzy do pracy przynioszą zapał, siłę i... serce. Ma dziś 36 lat, a w swoim zawodzie pracuje od siedemnastego roku życia.

Pod koniec ubiegłego roku Sapała dokonał nowego usprawnienia — skonstruował przyrząd do wyrobu rylnen hakowych. Przy pomocy tego przyrządu ślusarz, który dawniej produkował w ciągu dnia 8 haków, może ich teraz produkować 50. Obliczono wówczas, że pomysł Sapały zaoszczędzi państwu około 100.000 zł rocznie. Model przyrządu wysłano do Warszawy, na wystawę pomysłów racjonalizatorskich, a autorowi przyznano premie. Sapała ucieczył się i obmyślił sobie nawet, że za pieniądze uzyskane z premii kupi trochę nowych narzędzi do warsztatu (w warsztacie tym stoi bormaszyna, którą Sapała wyremontował na własny koszt i za którą dotąd nie zwrócono mu pieniędzy). Tymczasem... w Kielcach skłoniła do przyjęcia premia sprawa utknęła na tzw. „martwym punkcie”. Pieniądze choć przyznane do rąk Sapały nie dotarły.

— Na budowie to się nawet ze mnie niektórzy śmiali — zwierza się — mówili kiedy opracowywałem nowe pomysły po godzinach pracy: „pracuj, pracuj Sapała, dostaniesz premie, to sobie samochód kupisz”. Ale — dodaje — mnie przecież nie o premie chodzi. Bo pomyśleć, takich jak ja jest teraz wielu. Niech każdy coś zaoszczędzi to... ci, którzy teraz matki uczą chodzić, będą szczęśliwi. Ja miałem bardzo ciężką młodzież i wiesz może dlatego, że wiem, jak może być człowiekiem ciężko i że — pracując, chce i będzie pracować.

Taki jest Józef Sapała. Człowiek. Towarzysz. Ślusarz.

Jerzy Skokowski



KRYSZYNA PAŁYS

LIST Z KAZIMIERZA DOLNEGO

MALY, uroczy, cichy... i senny jest Kazimierz Dolny nad Wisłą — miasteczko położone w najpiękniejszym zakątku Lubelszczyzny, nazywanym przez niektórych „lubelską Szwajcarią”. Porosłe lasem wzgórz, malownicze wąwozy, wspaniała rzeka, której urok kusił się przenieść na płótno niejednego malarza polski, szeroki widok na rozciągającą się na drugim brzegu Wisły ziemię kielecką stanowią niepowściągliwą oprawę dla malutkiego miasteczka. Dziś mieszka tu niespełna 5 tysięcy ludzi. Na miniaturowym rynku utrzymały się tylko najpiękniejsze w kraju zabudki średniowiecza — kamieniczki „Pod Mikołajem”, „Pod Krzysztofem” i „Celejówka”.

Przed wojną biedacy żyli z rybactwa, (i tym razem żywiła ich Wisła), ze sprzedaży misternych wyrobów wiklinowych i z rosnących bujnie sadów śliwkowych. Te wymroziła niełaskiwie ostra zima 1928 roku. Pozostało jedynie źródło zarobków — letnicy i turyści. Latem i zimą jeżdżący tu całe plejadi malarzy, a za nimi ciagnęły korydory limuzyn ze stolicy. Wynajmowano więc „pokoje” za słoną cenę i kalkulowano tak, aby ze sprzedaży owoców i warzyw wyciągnąć na cały rok życia.

Ci, którzy nabilili sobie kasy na wszelkiego rodzaju interesach rozpoczęli swoistą inwazję na uroczę miasteczko. Na stokach rozrzuconych tu i owdzie wzgórz wyrastały jak grzyby po deszczu luksusowe wille. Popularny portrecista z pierwszych lat Polski sanacyjnej i wytrawny pedagog, profesor Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, Pruszkowski wybudował na sąsiadującym z ruinami zamku wzgórz pracownię i przywoził tutaj każdego lata zastępy uczniów. Kontrolę nad nimi sprawował z... powiatu, latał w awionetce nad niskimi dachami kamienizerek domostw i straszyl ludzi perspektywą rozwiązania kłopotu. Popularna w tych czasach autorka powieści „Dni powszednie państwa Kowalskich” — Maria Kuncewiczowa była właścicielką wille w stylu „ludowym”. Wszyscy niby to kochali niezmiennie piękno i sztukę, ale patrzyli obojętnie na to, jak rozsypany był w grzyby najpiękniejszy kraj i najciekawsze w Europie zabytki.

Po wojnie z zabytków pozostały rzeczywistości kupy gruzu. Spalony i zrujnowany Kazimierz Dolny był jeszcze przez długi czas gniazdem drobnej reakcji.

Małomiejszowski światek klepał biedę i zdawało się że nie skończy się już ona w mieście pozbawionej burżuazyjnych letników. Dwa kląskawo Reformatorów i Betanek przetrzymali zawiązanie „kultu przetrześci”. Młodzieży przybywało z każdym rokiem, zatrzaszczył się o nią prefekt Jachula. Ten zawołany pasterz wodził swoje owieczki na długie spacerki, organizował duchowe „czujki”, które wywoływały potem burdy i bijatyki z pierwszymi członkami ZMP. Dyrektorzy szkół nie potrafili temu zaradzić — sami tkwili powyżej uszu „w dawnych dobrych czasach”. Dlatego w Kazimierzu przez długi czas sprawował rady młodych dusz prefekt Jachula.

Pozycję prefekta Jachuli wzmocniali tacy ludzie, jak były burmistrz sanacyjny, kamienicznik Tadeusz Ulanowski, nie wahający się brać 90 zł miesięcznego czynszu za pokój na facjacie od wychowawczyń przedszkola. Kilku jemu podobnych znalazło początkowo poparcie w Gminnej Spółdzielni S. Ch. i rzadziło się w niej jak szare gęsi. Dawny właściciel cegielni, prowadzonej przez jakiś czas przez spółdzielnię Józef Borzęcki pracował w niej jako strycharz i nie omijał żadnej sposobności aby robotnikom wbić w głowy „że tak jak jest, to tylko tymczasem, przyjdzie nowa wojna i wszystko się zmieni”. Pracowali więc ludzie bez butów gumowych, w strzępach poniszczonych ubrań, a wszystkie interwencje u przewodniczącego GS, (również byłego burmistrza) Maksymiliana Wargockiego odbijały się o jego uszy, jak przystawiony groch o ścianę. Wszyscy ci pomocnicy księdza Jachuli znikli powoli z widowni małomiejszowskiej. Ich miejsca zajęli awansowani robotnicy z sąsiadujących z Kazimierzem kamie-

niów. W stynnej restauracji Berensa gospodarzy już GS i kuchnia nie jest gorsza, jak przed wojną. Pusty dawniej rynek zapełnia się w czasie uroczystości nie tylko ludźmi z miasta, ale chłopami z okolicznych wsi. Obywatel Kazimierza zrozumiał po prostu, że to co mu wprawiano jest najpospolitszym kłamstwem, szerszym we własnym interesie pewnej kłiki która nie może pogodzić się z odstawieniem od złota.

Ludzie zabrali się do roboty, rozpoczęli sypanie wału przeciwpowodziowego, w miasteczku powstała pierwsza spółdzielnia pracy, w której zrzeszyli się murarze. Robota nadarzyła się z miejsca. W najokazalszym ze spichrzów PTTK w porozumieniu z Wydziałem Komunalnym przy Woj. Radzie Narodowej urządziło Dom Turystyczny. W Kazimierzu nie było przecież gdzie przenoćować jeśli przyjechało choćby tylko dwadzieścia osób. W mietrowych murach powybijano okna i w zabytkowej budowli powstało nowoczesne wnętrze — sypialnie dla 250 ludzi na trzech piętrach. Jadalnia i świetlica na parterze, a pomieszczenia gospodarskie i pralnia w podziemiach.

Tacy jak: Borzęcki, Wargocki i Ulanowski siedzą teraz, jak myszy pod miotłą, macając jednak wodę jeszcze bogactw z Kazimierza, zamożni gospodarze posiadający „na gorze” za wąwozami rozległe grunty.

Nie mając warunków do rozwoju wielkiego przemysłu miasteczko rozpoczęło organizować swoje życie gospodarcze od spółdzielczości. Pracownicy: Po-spółdzielni budowlanej powstała galanterijno-skorzana, szewska i wikliniarska, którymi zadaniem jest odnowić dawne tradycje Kazimierza, wykorzystując chałupniczy system pracy. Zsłużona przed dwoma laty przetwórnia owoców — jedyny większy zakład produkcyjny rozwija się doskonale, ponieważ Kazimierz leży w wielkim nadwiślańskim pasie sadów. W tym roku wyprodukuje już 10 tys. litrów wina i 800 ton owoców. Do rozbudowy fabryki i przechowni owoców wykorzystano ruiny starego browaru i podziemne lochy.

Tegoroczne lato przyniosło nowe zmiany w sennym miasteczku. Tow. Przyjaciół Dzieci zapoczątkowało tutaj masową organizację letnich kolonii. Jest ich w miasteczku i okolicy około 60. Opuszczała ulicę zaroiła się od rośpiwanej młodzieży. W wille Kuncewiczowej i w szkole w Bohotynie rozgościła się młodzież warszawska, w innych — lubelska i chełmska. Działająca budowlę — atelier Pruszkowskiego wydzierżawiła dyrekcja Państw. Liceum Sztuk Plastycznych z Lublina i zakwaterowała tam swoich wychowanków na „praktykę plemnerową”. Codziennie pełno ich w zaułkach i po wąwozach. Majują jak dawniej i przenoszą na papier wszystkie uroki oryginalnego miasteczka. Zmienili się tylko malarze. Najzdolniejszy z uczniów liceum — Czesław Banasiewicz jest synem małego chłopca, jego serdeczny kolega Czesław Studziński wychował się w niewielkiej izbie robotniczej w Lublinie, Kazimierz Oracz ZMP-owiec, aktywista, syn znanego działacza ludowego Oracza-Tłuczka pojeździe do szkoły filmowej, a Leszek Ożyp syn nauczyciela z krasnickiego będzie studiował na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie rzeźbę.

Zamiast dawnych snobów z wypchanymi gotówką kieszeniami znalazła się tutaj młodzież bogata w talenty.

„Orbis” też doszedł jakoś do porozumienia z opornymi właścicielami wille i zajął 6 budynków na organizowane samodzielnie wczasy. Sciągają więc co niedziela tłumy przyjezdnych z Warszawy i Lublina i ślą soczyste epitety pod adresem PKS, sprawiającego ludziom częste i niemiłe niespodzianki.

Kazimierz Dolny jest wymarzone miejsce dla spotkań świata nauki, sztuki, działaczy społecznych i kulturalnych. Odbijające się tutaj konferencje, krótkotrwałe kursy i zjazdy nadadłyby rumieńców życia i uczyniłyby z miasteczka najciekawszy ośrodek turystyki masowej.

Krystyna Pałys

STEFAN IGNAR

LONDYŃSKI PROGRAM*)

Po zajęciu Polski, hitlerowcy zaczęli etapami wprowadzać zmiany w strukturze rolnej. Najpierw te „reformy” objęły województwa zachodnie, włączone do Rzeszy, a przede wszystkim woj. poznańskie i łódzkie. Zmiany, wprowadzone przez okupanta, polegały na likwidacji, drogą wysiedlenia i wywłaszczenia, przeważającej liczby właścicieli gospodarstw małych, a także i średnich. Przyłączono je do gospodarstw kulańskich lub do większych gospodarstw średnich i w ten sposób, na skalę masową tworzone system zagród wielokulańskich. Na jedno nowe gospodarstwo składało się nierzadko po 5 i 6 dawniejszych gospodarstw. Budynki, a zwłaszcza stodoły i obory ulegały rozbiórce. Uzyskane tym sposobem materiały budowlane, przeznaczono na odpowiednie do stworzenia obszaru powiększenia budynków kulańskich. Na tych gospodarstwach byli osadzeni Volksdeutsche, zwiezieni z różnych krajów Europy.

Tworzenie klasy kulańskiej w Polsce nazywało się „umocnieniem niemieckim” i podlegało szefowi gestapo — Himmlerowi.

Oprócz Volksdeutsche'ów, hitlerowcy osadzali na tworzonych gospodarstwach chłopów także wielu bogatszych chłopów polskich.

Należy zaznaczyć, że ta faszystowska „reforma” obejmowała nie tylko wywłaszczanie bez osiedlenia na ziemi i budynkach, lecz także żywego i martwego inwentarza.

Z masą proletariatu rolnego, przez hitlerowską przebudowę, chłopstwa polskiego, policja niemiecka (SS) radziła sobie w ten sposób, że starszych i dzieci wysyłała bez żadnego zapłaty, ze skromnymi tobołkami osobistymi do województw wschodnich i centralnych, czyli do tzw. Generalnej Gubernii. Młodzież wywożono na niewolnicze roboty do Niemiec. Część ludności, która pozostawała w tzw. Wartheland (kraj Warty), służyła jako siła robocza u niemieckich i polskich kulańców.

Podobną akcją wysiedlenia objęte zostały także niektóre powiaty woj. lubelskiego, które posadały najpłodszą glebę. W dalszych planach miała być w ten sposób przebudowana struktura rolna całej Generalnej Gubernii. W niektórych okęgach, hitlerowcy zdążyli jeszcze w tym celu dokonać pomiarów gruntowych i ponumerować budynki chłopskie.

Polscy kulańcy, którzy zostali włączeni przez niemieckich faszystów do klasy „bauerów”, stali się lojalnymi pracownikami okupanta i w nieludzi sposób wykorzystywali nadane im prawa przez okupanta, wyzyskując wywłaszczonych, sąsiadów. Wielu z nich przeszło z czasem do politycznej współpracy z okupantem za nadanie im ziemni biedy i możność nieograniczonego wyzysku.

Również i we wsłach, które były położone w powiatach nieobjętych akcją przebudowy, a posiadali większy procent bogactwa, jak np. w Łowickim, rozwijała się atmosfera lojalizmu wobec okupanta i niechęć do oddziałów partyzanckich.

Inaczej było w tych okęgach, gdzie opinie gromad tworzyli małorolni i średniorolni chłopci. Tam postawa wobec okupanta była zdecydowanie wroga, oddziały partyzanckie miały zapewnioną bazę rekrutacyjną, jak również oparcie polityczne i materialne we wszystkich wsłach. W tych okęgach (np. Kieleckie), nieliczni kulańcy, którzy jak: wójci, sółtysi, a nawet księża współpracowali z okupantem, byli karani chłostą przez patrol partyzancki. Złosiłwych donosicieli i zdrajców karano śmiercią. W odwet za popieranie walki wyzwolenczej, hitlerowcy stosowali tzw. odpowiedzialność zbiorową, paląc wsie i mordując ludność.

Część folwarków pozostawiono w dyspozycji polskich obszarników, część zaś włączono do tzw. Liegenschaftów, poddając je zarządowi agronomów niemieckich. Małorolna i średniorolna ludność chłopska zmuszona była do bezpłatnej pracy w gospodarstwach folwarcznych, zwłaszcza w okresie kampanii zniwnej i wykopków. Dwory były bazą dla oddziałów tzw. NSZ (Narodowe Siły Zbrojne) i dla reakcyjnych oficerów AK, którzy zamiast walczyć z okupantem napadali na drobniejsze patrol Armii Ludowej i lewicy BCH i niemilosierdzie je wymordowywali.

Znane są fakty zaopatrywania NSZ w broń przez placówkę Wehrmachtu.

FASZYSTOWSKI PROGRAM ROLNY DELEGATURY LONDYŃSKIEJ

W ośrodkach politycznych burżuazji przygotowywano program urzędzenia rolnictwa po ustąpieniu okupanta. Były w tym obozie różnice, podobnie jak w czasie dyskusji nad reformą rolną w latach 1919 — 1925, lecz wszyscy zgodzili się na jedno: że trzeba stworzyć silną klasę kulańską kosztem chłopów małych i średnich. Ogłoszone kilka wersji programów w Londynie i w kraju, lecz programy te sprowadzały się do jednej faszystowskiej koncepcji.

Program endecji, kulańskiej pryncy Stronictwa Ludowego i pryncy PPS-u, sprowadzał się do planu „urozniczenia” przyszłego państwa burżuazyjnego. Polska miała stanowić rynek dla przemysłu i kapitału angielskiego. Rozbudowa ciężkiego przemysłu została uznana za niecelową. Planowano wznoszenie przemysłu spożywczego i rolnego

w oparciu o surowce, dostarczane przez gospodarstwa kulańskie i obszarńskie. Robotnicy przemysłowi i sproletaryzowane masy chłopskie, miały być ujęte w karby faszystowskiej korporacji. Klasowe organizacje zawodowe i polityczne, robotnicze i chłopskie miały być zakazane.

„Szybszy rozwój przemysłu byłby i niewykonalny ze względu na brak kadr fachowych i kapitału i nawet w pewnej mierze niebezpieczny dla równowagi psychicznej i zdrowia moralnego Narodu — pisali na emigracji politycy endecji w programowej broszurze pt. „Zagrody i Wspólnoty”. Samowystarczalność w dziedzinie przemysłu — pisali reakcyjni ludowcy w piśmie „Przebudowa” — jest w naszych warunkach niemożliwa wobec braku wielu surowców i szczupłości rynków”.

ONR-owcy (faszyści z obozu endeckiego), wyraźnie postawili program hitlerowski dla przyszłej Polski.

„Jest tanią demagogią twierdzić — pisali we wspomnianej broszurze — że reforma ta jest dlatego zła, ponieważ wprowadził ją Hitler. Przeciwnicy zagród dziedzicznych szanują obecnie ten argument. W odpowiedzi należy stwierdzić, że zagroda dziedziczna stanowi postulat programowy katolickiego ustroju, a ponadto odpowiada narodowym potrzebom Polski”.

Prawicowcy ludowcy, czyli tzw. ograrżyci, nie chcieli się przynajmniej wprost do naśladowania wzorów hitlerowskich, aby nie tracić wpływu na masy chłopskie, zwłaszcza, że szczegółowy program wydrukowali i kolportowali w kraju, gdzie właśnie okupant pokazywał w praktyce „zalety” zagród dziedzicznych.

Zasady i szczegóły programu rolnego tzw. delegatury, ułożone pod kierownictwem Z. Zaleskiego i ogłoszone w broszurze pt. „Nowy wspólny dom”, przewidywały gęstą sieć wzorowych folwarków obszarńskich oraz oparte o nie gospodarstwa kulańskie. Małorolni i średniorolni chłopci, mieli być usunięci ze swych gospodarstw, aby nie psuć struktury dostatkich kulańskich folwarków.

Dla kogo był ten program? Jeżeli do jego zrealizowania miał służyć zakaz podziałów rodzinnych, ośnośnie większych gospodarstw chłopskich, jak to jeszcze zaplanowano w OZON-ie, do tego miała prowadzić także akcja przesiedleńcza i „zachęta” do sprzedaży gospodarstw małych itp.

Ze jednak fachowcy Mikołajczycki chcieli w istocie wprowadzić nie tylko program hitlerowski, ale także zastosować metody hitlerowskie, świadczą następujące wytyczne:

„Nie wszędzie jednakowo, ale w wielu okęgach, a szczególnie w Zamoszczyźnie, Żywieckiem oraz w okęgach Warty Niemcy dokonali poważnych zmian w strukturze rolniej. Wyrzucając z gospodarstw dotychczasowych właścicieli, do obozów, do Rzeszy, do Gubernii, i złożyli je po parę i po kilka w jedno, często rozbiłali budynki i zarywali między i osadzali na nich przeważnie sprowadzonych ze świata Niemców, a niekiedy tylko miejscowych gospodarzy. Często pozostawili całe wsłaki, potworzyli folwarki, a dotychczasowych właścicieli gospodarstw pozamiędiali w pracownikach folwarcznych”.

Dalej czytamy w „Naszym wspólnym domu” że:

„W przypadkach, gdy gospodarstwa uległy przekształceniu, zgodnym z duchem naszych zamiarów (skomasowanie), nie należy dążyć do odbudowy dawnego stanu, lecz zająć się nowym, tymczasowym urządzeniem wszystkich pracujących. Regulacja formalno-prawna będzie postępowała w ślad za tymczasowym urządzeniem. Jeśli gospodarstwo zostało przekształcone, możliwe są dwa wypadki: gdy nowo utworzone gospodarstwo nie przekracza 35 ha użytków rolnych, będzie się je pozostawiać na razie bez zmian i oddawać tym spośród powracających wysiedleńców, których budynki pozostały, a zaś nowo utworzone gospodarstwo jest większe, należy je oddać pod zarządek jednego, ale osiedlić w nim na razie dwie lub więcej powracających rodzin.

Podobnie miały zostać w całości i te stworzone przez hitlerowców gospodarstwa kulańskie, które zostały obsadzone przez polskich „bauerów”.

Dolna granica wszystkich gospodarstw rolnych, według programu Zaleskiego miała wynosić 10 ha, a więc wyżej, aniżeli w hitlerowskich Niemczech, gdzie prawo do zagrody dziedzicznej miał właściciel od 7 1/2 ha wzywy.

Program delegatury zapowiadał niepodzielność zagród kulańskich, pomoc kredytową, zapewnienie wykształcenia dzieciom — słowem, wszystko skopiowane z ustawy o „stanie żywicieli”.

POKRZYŻOWANIE PLANÓW KULAŃSKIEJ MIĘDZYNARODÓWKI I URZĘDZISTWNIENIE DĄŻEN CHŁOPSKICH W POLSCE

Programy ograniczenia rozbudowy przemysłu oraz urzędzenia rolnictwa na sposób hitlerowski, popierane, a właściwie dyktowane były przez imperialistyczny rząd angielski.

Monopole angielskie dążyły do tego, aby opanować chłopskie kraje Europy środkowej i południowej dla eksploatacji jako rolniczą półkolonię, osłabić i rozbić „niewdzięczną” klasę robotniczą tych krajów, poddać proletariatu przemysłowy i

rolny rygorom faszystowskich korporacji i rządów całkowicie uzależnionych, a na bazie kulańskiej przygotować agresję przeciw Związkowi Radzieckiemu, aby ponownie próbę rozbić państwa socjalistycznego, skoro Hitlerowi nie udało się wyprawa na Moskwę.

Plan angielski zostały ujawnione między innymi przez stworzenie w 1942 r. tzw. chłopskiej międzynarodówki i opracowanie przez rząd angielski tzw. „Programu Chłopskiego”. Program ten został „zaakceptowany” przez kulańskich emigrantów, znajdujących się w Londynie na służbie brytyjskiego imperializmu, na tzw. Kongresie Chłopskim, składającym się z kilkunastu zaledwie osób.

Programowe czasopismo okupacyjnej pryncy Stronictwa Ludowego „Przebudowa” ze stycznia 1943 r. podaje następujące szczegóły z życia „chłopskiej międzynarodówki”:

„Po całym szeregu wstępnych rozmów i nieformalnych zebrań, odbyło się pierwsze posiedzenie wyemienionej grupy dnia 26 lutego 1942 r., na którym postanowiono opracować wspólną deklarację programową. Prace grupy zostały ułatwione dzięki dużemu zainteresowaniu i współudziałowi czynników angielskich (podkreślenie moje — S. I.). Zebrania odbywały się w Królewskim Instytucie dla Spraw Zagranicznych, pod przewodnictwem Sir Fredericka Whyte'a, który postawił do dyspozycji grupy aparat biurowy oraz lokal Królewskiego Instytutu. Konferencje odbywały się w języku angielskim i oryginalny program został w tymże języku opracowany i podpisany. Obecny na zebraniu był również prof. Seton Watson, wybitny przedstawiciel angielskiego świata Spraw Zagranicznych. Królewski Instytut jest instancją, opracowującą wszystkie materiały dla Angielskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych i jeżeli wymienieni Anglik brali udział w bardzo żywych pracach grupy, to niewątpliwie czynili to jeśli nie z inicjatywy, to w każdym razie w porozumieniu z angielskimi czynnikami rządowymi”.

Z dalszych informacji dowiadujemy się, że uchwalona deklaracja została przekazana Edenowi, Churchillowi i Rooseveltowi oraz, że prasa angielska poświęciła jej dużo uwagi.

„Dotychczas zebrane głosy prasy brytyjskiej są, wszystkie utrzymywane w tonie przychylnym do deklaracji — podaje „Przebudowa” — i szereg pism podkreśla, że jest to pierwszy, bodaj, pozytywny krok o dużym bardzo znaczeniu w kierunku unormowania i spacyfikowania stosunków środkowo-europejskich”.

„Międzynarodówka chłopska” stworzona przez angielskie ministerstwo spraw zagranicznych miała doprowadzić do stworzenia federacji, a co najmniej bloku środkowej i południowej Europy łącznie z Grecją, aby pod angielskim kierownictwem, „spacyfikować” stosunki społeczne, poddać te kraje nieograniczonej eksploatacji przez angielski kapitał, ograniczyć rozwój przemysłu i „ustawić” chłopskie zagrody do pochodu na ZSRR. Była to w pewnym sensie próba i Planu Marshalla i Paktu Atlantycznego.

Lecz w masach chłopskich, po starciu nurtowały dążeń do likwidacji własności obszarńczej. Wszędzie przez proletariar, narodo-wo-wyzwolenca walka, pociągła szerokie kręgi małych i średniorolnych chłopów. Obiecanki i bałamuctwa angielskiej burżuazji, szerzone przez polską reakcję, roziewały się wobec bohaterstwa Armii Czerwonej — wyzwolicieli, wobec braterstwa, z jakim wystąpił naród radziecki do „chłopskich” narodów środkowej i południowo-wschodniej Europy. Powstały państwa demokracji ludowej, zbudowane przez proletariar przy współudziale mas chłopskich.

Normy Zaleskiego, przewidujące przeciętnie 30 folwarków w jednym powiecie i wywłaszczenie małorolnych i średniorolnych chłopów na rzecz kulańców, pozostały jedynie haniębnym świadectwem zamachu chłopskiego faszystu na interesy mas chłopskich. Historia potoczyła się w Polsce tak jak i w innych „chłopskich” krajach po konsekwentnych torach dyktetyki, a nie według żarłocznych, zdradzieckich życzeń burżuazji.

Wraz z upadkiem Hitlera, rozgromionego przez wojska Związku Radzieckiego, upadło panowanie burżuazji i obszarnictwa w Polsce. Klasa robotnicza w sojuszu z masami chłopskimi zdobyła władzę i przeprowadziła taką reformę rolną, która raz na zawsze obaliła panowanie obszarńców. Wszystka ziemia folwarcza została ekfiskalizowana i podzielona przez Komitety chłopskie pomiędzy bezrolnych, małorolnych i średniorolnych. Odwróciła się polityka agrarna. Państwo Ludowe zniszczyło wszelkie długie, czynsze dzierżawne i przywileje techniczne bogaczy. Wprowadziło pomoc sąsiedzką, ośrodki maszynowe, udostępniło nawozy sztuczne, pracującym chłopom, stworzone spółdzielczość samopomocową. Tyśiące wsi otrzymało elektryczność i radio. Fala młodzieży chłopskiej ruszyła do średnich i wyższych szkół. Dokonała się rewolucja, w której następny etap otwarł drogę do spółdzielczosci produkcyjnej.

Stefan Ignar

Fragment pracy „Kwestia rolna w Polsce kapitalistycznej”.

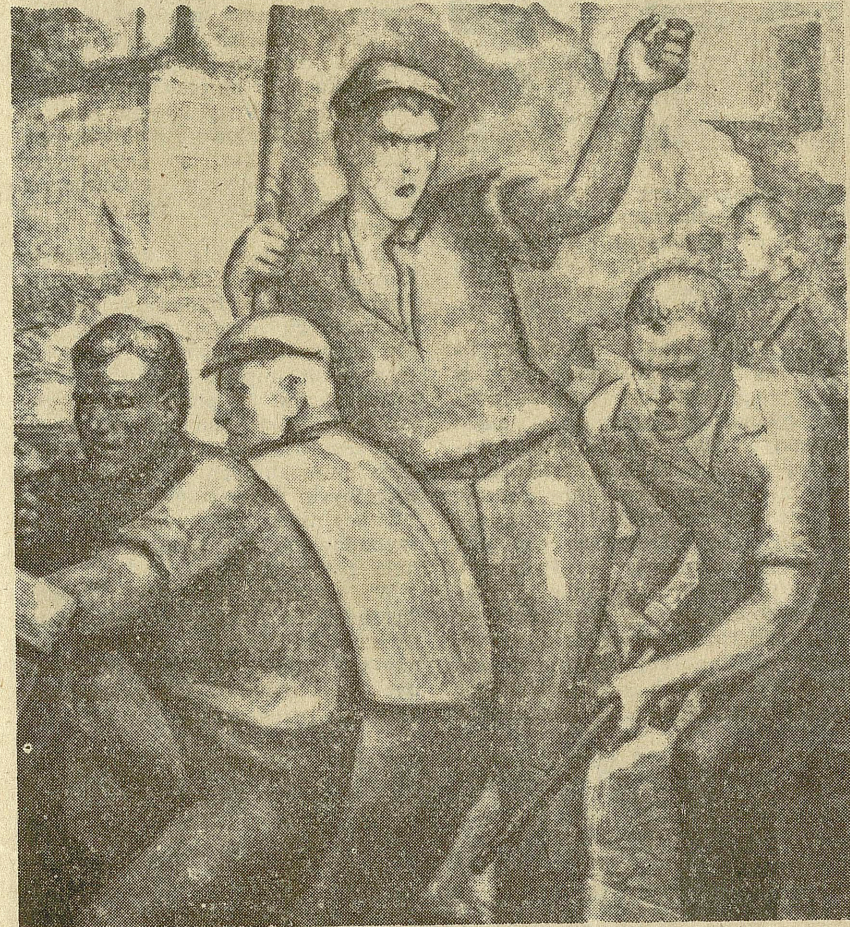
LECH BUDRECKI

O „ZIEMI OBIECANEJ”

„Ziemia obiecana” uderza tym typem problematyki, która w książkach Reymonta pisanych przed rokiem 1905, najczęściej dochodzi do głosu. Centrum pisarskiego zainteresowania stanowi uformowany przez imperializm nowy zespół dyktetyczny postępowania, nowy zbiór etycznych reguł. On to będzie tropiony przez póro prozaik, on to ustawnie pojawia się na pierwszym planie utworu, poddany dokładnej obserwacji, którą prowadzi Reymont do demaskowania wzorów moralnych, patronujących współczesnym argonautom w ich drodze ku nowoczesnej Kolchidzie. Po- bieżne nawet studia nad doborem

na gołej ziemi. A gdyby go później spytano jak żył? powiedziałby: — Robilem. — Po co? — Zrobiłem miliony. — Na co? — No, żeby mieć miliony, żeby ludzie podziwiali, żeby jeździć powozem i imponować głupcom i żeby zdechnąć w połowie życia, zdechnąć z wycieńczenia pracą, ale na milionach. Tfu z taką głupotą.”

Borowiecki nie da się wypchnąć na bruk, uniknie licytacji, ale kompensować to będzie musiał małżeństwem z panną Mueller, poręczaniem narzeczonej, szeregiem niezbyt z prawem zgodnym posunięć. Gdyby jednak prozaik demonstrując kosztą egzystencji w społeczeństwie bur-



faktów włączanych w powieść o tak wielu wątkach, o tak rozlicznych konfliktach potwierdzają nasze przypuszczenie o zasadniczym zainteresowaniu prozaika normami postępowania śmiałych kapitałom przemyślni, zwanych rycerzy gieldy w dobie monopolizacji kapitału. Obserwacje zebrane przez Reymonta jasno wyłożone na kartach książki określają postawę wartościującą pisarza, polepiającego nową moralność, poświęcającego jej pamflet.

Dlatego to tak wiele partii „Ziemi obiecanej” nosi wszelkie znamiona krytyki życiowych praktyk bohaterów. Zapoznajmy się z reymontowską ich diagnozą. Stwierdza ona, że za przynosi kapitału, za uniknięcie bankructwa trzeba płacić odpowiednim zachowaniem, że zwycięski argonauta triumf swój zawiadza określonym etycznym credo, od którego odstąpić — oznacza ponieść klęskę. Takie to prawidła rządzi życiem burżuazyjnego społeczeństwa w epoce imperializmu. Zginęła przyjaźń, uczucia stały się komercjalizowane, miłość stała się zależna od kwestii finansowej. Omija się nawet kodeks karny, którego artykuły krepują nieraz nadmiernie przedsiębiorczość kapitalistów. Wszystkie elementy krytyki moralności burżuazyjnej zamieszczone w opowiadaniach autora „Chłopów” z lat 1891 — 1893 zostały w „Ziemi obiecanej” powtórzone i rozwinięte. Mamy tu przeciwieństwo oskarżenia, zawartego w „Pracy”, repetycję surowego werdyktu w „Śmierci” sarkazm wyrażony już w „Komedii miłości”.

Niedarmo pisarz obrał jako postać centralną Borowieckiego. Poprzez jego losy przeprowadzone zostaje obwinienie imperializmu o miłość skazaną na zagładę, o przymus oszustwa, drobnych szulerów, nieczystych afer pieniężnych, przymus nieubłągania dla tych, którzy pragną na stałe być bogaci. Borowiecki ma narzeczoną. Kocha ją. Jest do niej przywiązany. Ale Borowiecki ma również fabrykę, wymagającą wielkich starań i wielkich inwestycji. Przed młodym przemysłowcem jawi się widmo ekonomicznego bankructwa. Posag Anki, całkowicie już wpakowany w fabrykę, nie wystarczy. Ten młody bohater powieści rozstrząsa się ze swą dotychczasową narzeczoną i żeni się z Madą Mueller, która wnosi do interesu po- tężny kapitał, a także kredyt ojca. Oto warunki, na których Borowiecki wszedł między burżuazję. Nie poszedł w ślad za Myszczkowskim, tani odestępującym nowy sposób blichotnia białego towaru, wart jakoby milion, nie zgodzi się na słowa, które inżynier z fabryki Meyera będzie kierował do Halperna: „Nie jestem bydlęcim pociągowym ani maszyną, jestem człowiekiem. Tylko głupiec chce pieniędzy i dla zrobienia miliona poświęca wszystko, życie i miłość, i prawdę, i filozofię, i wszystkie skarby człowieczeństwa, a gdy się już tak nasyci, że może spać milionami; coż wtedy? Zdycha na materacu wypchanym tytułami własności. Wielka pociecha, zupełnie tej samej wartości, jak gdyby zdychał

żuazyjnym zakończył powieść swą pełnym sukcesem głównego jej bohatera, dopatrylibyśmy się w takim finale pochwały tych, którzy przedzierają się przez kapitalistyczną dżunglę, którzy zarzucili skrupuły, którzy bezwzględnie realizują swe pragnienia. Byłaby w tym nawet pochwała takich reguł postępowania, jakie w epoce imperializmu okazują się „najsukcesowniejnymi”, gwarantując sukces. Krytyczny realista nie mógł dopisać takiego epilogu do „Ziemi obiecanej”. Dlatego też zakończył powieść sprawozdaniem z porażki Borowieckiego. Porażka ta nie równa się powodzeniu ekonomicznemu. Porażka ta, to nagłe zrozumienie przez bohatera nonsensu jego ambicji, absurdalności celów, które okazały się niegodnymi wysiłku. Nawzajem to życiowym bankructwem reymontowskiego Rastignaca, bankructwem w ramach którego mieszczą się takie słowa: „Przegrałem własne szczęście” i takie oto podsumowanie własnej sytuacji: „Poświęciłem wszystko i coż ma teraz? Garść pieniędzy bezużytecznych i ani przyjaźni, ani spokoju, ani zadowolenia, ani szczęścia, ani chęci do życia i nic... nic...”. Kariera Borowieckiego to jeden tylko z obfitych rozstrzygnięć na kartach „Ziemi obiecanej” przykładów życiowej praktyki burżuazji w dobie imperializmu. Podobnych wydarzeń rejestruje pisarz daleko więcej. Widzimy Grossmanna insecnującego pożar w fabryce i uzyskującego za to własnie drogą sumę asekuracyjną, która wyrówna bilans i ocali go przed plają, widzimy zderzenie Groglicka, drobne oszustwa Szali, skłonnego do wielu posunięć, by zarobić nawet kilkadziesiąt kopiejek, widzimy na koniec, jak Wilcew omija prawo, i jak oszukuje Karsmarek. Następnie zaobserwować przyjdzie Moryca Welta, który z całym spokojem przystępuje ekonomicznym krach wieloletniego przyjaciela, by w ten sposób powiększyć zasoby posiadane przez siebie kapitału. Oto dialogi przyjaciół odnotowujące wprowadzanie w życie takiego programu moralnego, jaki narzuca burżuazyjne społeczeństwo w latach powstawania koncernów, narodzin karteli i syndykatów: „Wiesz, Golberg się spalił dzisiaj w nocy i to zupełnie, „na glanc” jak Mateusz mówi... — dla mnie to nie nowina, — odpowiedział ziewając — ja miesiąc temu wiedziałem, że on się potrzebuje spalić. Dziwiłem się nawet, że tak długo zwleka, przecież procentów mu nie dadzą od asekuracji. — Miał dużo towaru? — Miał dużo zaasekurowane — na... — Bilans sobie wyrównał. Rozemnieli się obaj szczerze”.

Walka o ówczesny Chanaan znalazła w Reymontie swego najmilszego antagonistę, powtarzającego za Maksem Baumem, że większość naszych fabrykantów, to prości złodzieje i oszuści”. Atak pisarza godzi w ideferentym moralny, w brak skrupułów, w metody dobijania się majątku szybko i sprawnie, w to, co jawnie głosi Moryc Welt polemizując z Maksem: „Co cię obchodzi, czy oni są złodzieje czy porządni ludzie? My wszyscy razem jesteśmy tu po to w Łodzi, żeby zrobić ge-

szef, żeby zarobić dobrze. Nikt z nas tutaj wiekować nie będzie. A każdy robi pieniądze jak może i jak umie”. Pisarz stwierdza na koniec w komentarz uogólnieniu, uzasadnionym jasno i przekonująco konstrukcją dżela: „W tym wirze szalierstw i złodziejstw, kto nie chciał być po trochu tym samym, czy byli wszyscy — ten nie mógł marzyć o istnieniu, choćby się zapracował i włożył w interesy wielkie kapitały, musiał w końcu być wyrzuconym, bo nie potrafił wytrzymać konkurencji”.

Wzweńcie zainteresowań pisarza tylko i wyłącznie do spraw moralności, to objaw wytykane, przez nas już niejednokrotnie ograniczenia perspektyw poznawczych, zacieśnienia wiedzy o świecie literackich reprezentantów drobnomieszczaństwa. Niemniej jednak stosują się do Reymonta słowa, rzuczone przez Moryca Welta, a zaadresowane do Maksa Bauma: „Ty jesteś czerwony, ty jesteś radykal, pany nr cztery”. Radykal drobnomieszczański, ale w radykałach w „Ziemi obiecanej” nie trudno napotkać historiozofa i ideologa kapitalizmu. Jest nim młody przedsiębiorca i niezręczny spekulant Halpern, wysiadujący w kawiarni i zachwycony Łodzią. On nie propaguje w przeciwnieństwie do młodego Bauma uczciwośći łódzkiej. Halpern opowiada się natomiast za darwinizmem społecznym. Z wielką radością, z głębokim optymizmem lansuje motto opowiadania Dygaszńskiego: „Szlachetni giną”, funkcja tej doktryny ideologicznej zostaje zdeformowana, trafność zaś opisanych sformułowań Halperna uznaje krytyczny realista, odnosząc je jednak do burżuazyjnego społeczeństwa w dobie imperializmu, konkretnie zaś do moralności przez społeczeństwo to ufundowanej. Dlatego też za znamienne poczytał Reymont słowa brzmiące tak: „To jest gadanie? To jest tylko antysemityczne gadanie, w które pan nie wierzy, bo pan dobrze wie, że płotkę zjada duży kielbik, kielbika zjada oko, a okonia zjada szczupak, a szczupaka?

Szczupaka zjada człowiek. A człowiek zjadając drugich ludzi, jedzą go bankrutstwa, jedzą go choroby, jedzą go zmartwienia, aż go w końcu zjada śmierć. To wszystko jest w porządku, jest bardzo ładnie na świecie, bo z tego robi się ruch”. Człowiek walczący z człowiekiem, człowiek wrogi, człowiekowi — tak sformułowane „zostają” nacze nie przesłanki moralności burżuazyjnej, tej moralności, z którą walkę podjął w „Ziemi obiecanej” autor „Chłopów”. Jak bardzo krytyczny realizm Reymonta kolidował z literaturą ideologiczną mitów w dobie imperializmu, jak bardzo był jej obcy, jak bardzo był jej przeciwny, dostrzegamy kładąc obok „Ziemi obiecanej”, „Bawelnę” — W. Kosia-kiewicz. Oba dzieła przedziela niewielki jedynie dystans czasu. „Bawelnę” bowiem ukazuje się w roku 1893 a „Ziemia obiecana” w 1899 r. z tą jednak różnicą, iż publikowana jest w odcinku „Kurieru Codziennego” w latach 1897 — 1898. Tak więc różnica chronologiczna sięga raptem lat dwu. Kosiaiewicz nie widzi dziwacznej etyki grubeńców, nie widzi drażliwego moralu argonautów, nie widzi tego, co stwierdza Borowiecki: „Łódź — to las, to puszcza — masz mocne pazury, to idź śmiało i bezwzględnie, dół bliźnich, bo inaczej oni cię zduszą, wysysają i wypływają z siebie”. Kosiaiewicz ślepy jest na ostatnie ekonomiczne odświeżenie książy perkalu. Nie dostrzega ich przykazań dnia powszedniego, przykazań wypowiadanych ustami Halperna i Welta. Julian Rumiński — bohater „Bawelny” — rozpoczynając swą karierę jako przemysłowiec, nie styka się z omianiem prawa, nie słyszy nawet o starannie planowanych szwindlach, o bezwzględnych metodach pomnażania kapitału za każdą cenę. Wydarzenia takie leżą poza granicami życiowego doświadczenia herosa „Bawelny”. Raz tylko spotyka się z próbą zrzecznego podpalenia własnej fabryki, mającej na celu uruchomienie sum asekuracyjnych, próbę podejmowaną zresztą przez współnika Juliana. Nie może jej zapobiec, ale skutecznie sprzeciwia się realizacji dochodowej strony tej imprezy. Mimo to jednak „powstałe w okół niego nieznosna atmosfera podejrzeń, otacza go fama „podpalacza” której kres kładzie dopiero wyjaśnienie sprawy przez Grumińskiego. I myślicie, że uczciwość nie wyszła mu na zdrowie. że to początek klęsk i niedostatków powieściowego bohatera. że to droga klęsk, idąc którą zostaje się bankrutem? Oczywiście tak formował losy Juliana — Reymont, pisarz krytycznego realizmu, demonstrujący, iż bourgeoisie w dobie imperializmu nie może być uczciwym, że tego typu norma moralna — mamy tu na myśli normę uczciwości — usunięta została z reguł postępowania producentów bawelny, parali i sztucznych jedwabi. Ale takim finałem nie mógł zakończyć swej powieści Kosiaiewicz. Ukazał on tedy jak zgodność z paragrafami prawa, rzetelność Rumińskiego staje się powodem jego fi-

REYMONTA O WSPÓLNY SIEW

nansowej kariery, wszelkich dostatków i łask hojnie rozdzielonych przez Fortuna. Bohater „Bawelny” zostaje współnikiem wielkiego przemysłowca, do którego to stanowiska bez sprzeciwu założonego przeciw łatwotkiemu drodze wyrównywania bilansu sumy assekuracyjnej, nie mógłby nawet pretendować. Wydaje nam się, że tu dopiero dokonano niewiarygodnych niemalże zafaszowań. Okazuje się bowiem, że kapitalizm wyraźnie sprzyja umacnianiu się ludzkich cnót, że doskonalą wewnętrznie, że łepi wszelkie nieuczciwości, że burżuazyjne społeczeństwo nagradza zawsze ludzi dobrych, ludzi obdarzonych sumieniem, ludzi niepokalanych żadnym postępkiem haniebnym i to nagradza dobrami bardzo ziemskimi, przeliczalnymi na określoną sumę pieniężną. W ten sposób powstaje sielankowy obraz Łodzi, w ten sposób w raj przemieniono polski Manchester. To prawdziwa ziemia obiecana, prawdziwe Chanaan, w ciału obecną Ikaria. Różnica między Reymontem, a Kosiakiewiczem jest tedy prosta. To różnica między pisarzem krytycznym realizm, a pisarzem burżuazyjnym, między twórcą idylli, gloryfikatorem monopolizacji kapitału z całym bagażem jego następstw, a demaskatorem tej idylli, zawziętym przeciwnikiem tych następstw.

Struktura kompozycyjna „Ziemi obiecanej” pozwoliła na wprowadzenie do powieści proletariatu. Analiza klasy robotniczej skonstruowana w reymontowskiej powieści o Łodzi jest o tyle pouczająca, że ukazuje wszelkie zalety i mankamenty drobnomieszczańskiej krytyki kapitalizmu. Zaczynając od badania zasadniczych rysów tego obrazu. Reymont dostrzegł to, o czym milczał nie tylko Kosiakiewicz, ale to, czego nie mógł zobaczyć jeszcze Prus, Reymont zna sprawę, na mocy której multiplikuje się kapitał, potrafili odpowiedzieć na pytanie czemu tak pięknie owocują sumy zebrane przez Wokulskiego czy też Rulinskiego. Innymi słowy: na kartach „Ziemi obiecanej” pisarz stwierdza egzystencję kapitalistycznego wyzysku. Stąd powstają obrazy nędzy robotniczej, stąd też bierze swój początek zamieszanie w utworze pejzaż „Ziemi obiecanej”. Autor „Ziemi obiecanej” obserwuje kapitalistyczny wyzysk, widzi nędzę robotników, ale nie może zobaczyć ich walki. Proletariusze, to ludzie ciemni, nekani głodem, niezdolni do jakiegokolwiek oporu. Nie uświadamiają sobie nawet celów, nawet potrzeb ewentualnego sprzeciwu. Są bezradni, cierpią, przeklinają, co najwyżej zdobywają się na sporadyczny odruch buntu, jakże ślepego, jakże niezorganizowanego. Za przykład posłużyć tu może Malinowski, który zabija młodego Kesslera, mszcząc się za zniesławienie córki, za uciśnienie z niej fabrykanckiej utraty. Niemniej jednak odruchu tego nie możemy przecież uważać za objaw rewolucyjnej dążeń klasy robotniczej. Objawy takie wyglądałyby wszakże inaczej i pisarz nie zoba-

palonych spojrzeń rzucało się w ciemność z upragnieniem i gorączką, szukając konturów tej „Ziemi obiecanej”. Z równin odległych, z gór, z zapadłych wiosek, ze stolic i miasteczek, spod strzech i pałaców, z wyżyn i rynsztoków ciągnęli ludzie nieskończoną procesją do tej „Ziemi obiecanej”. Przyszli z nią, przyniosli jej siłę, młodość, zdrowie, wojnę swoją, nadzieję i nędzę, mózgi i pracę, wiarę i marzenia.

Dla tej „Ziemi Obiecanej” dla tego polpa pustoszyli wsie, ginęli lasy, wycieńczała się ziemia ze swoich skarbów, wysychały rzeki, rozdzielili się ludzie, a on wszystkich ssal w siebie i w swoich potężnych szczękach miażdżył i przeżuwał ludzi i rzeczy, niebo i ziemię i dawał w zamian nieliczną garstkę milionów bezużytecznych, a całej rzeszy głód i wysiłek.

Jednak Łódź, to był nie tylko wyzysk tysięcy proletariatu, nie tylko „polpa” szerzący wokół zniszczenie, dla niektórych to była prawdziwa kopalnia złota, to była także walka, teren najbardziej nasilonych konfliktów klasowych. A o nich Reymont wspominał, kreśląc postać Bucholca, jak już wspomnieliśmy o tym, zanotował jego nieważność — uczucie wzburzone przez wielki antagonizm tych lat. Gdy jednak prozaik mówił zaczął o naturalnych przeciwnikach wielkich przemysłowców, nienawistę też już przeoczyć. A istniała ona ponad wszelką wątpliwość. Świadczy o niej rozliczne fakty. Oto słabość piarska drobnomieszczańskiego radykała. Zobaczyć starcie konkurencyjne Mendelson — Bucholec i ślepych zostać na walce proletariatu — burżuazji, przy tak niewspółmiernym znaczeniu społecznym tych dwu zjawisk. Kanon naturalizmu kładł kres realizmowi, powodował odwrócenie uwagi pisarza od procesów typowych i istotnych. Fakty potwierdzone danymi statystyk utrzymywały zaś, że częstym bywa w Łodzi analfabeta, niżeli czytelnik socjalistycznych broszur, że częstym jest pijak niżeli wódnarz zafrapowany ideami Waryńskiego, że rzadko natknąć się można na przejaw świadomości klasowej, że proletariatu nurtuje ona słabo, że niewielu ludzi spośród zatrudnionych w licznych zakładach przemysłowych tej „Ziemi obiecanej” potrafili się na nią zdobyć. Reymont nie stwierdził więc narastania fali rewolucyjnej, które przecież odbywało się ustawicznie i nie przewidział roku 1905. Ale w ramach naturalistycznej poetyki żaden pisarz nie mógł dostrzec tych zjawisk, ale w ramach naturalistycznej poetyki prozaik lat 90-tych musiał przesunąć na margines swych dzieł działalność „Proletariatu” i rozszerzenie się wpływów SDKPiL. Oto powody, dla których w reymontowskiej powieści o Łodzi nie znajdziemy słów mówiących o walce klasy robotniczej, dla których w dziele powstałym w latach 1897—1898, a więc w chwili, której działalność Róży Luksemburg i Feliksa Dzierżyńskiego zalecała coraz szerzej kregi, nie znajdziemy portretu strajku, spotykającego natomiast biednych, ale biernych, wy-

KRYSTYNA LEŚNIEWSKA

Książki poświęcone problemom przemian zachodzących we współczesnej wsi polskiej stanowią — i z pewnością będą — ważny i bogaty dział naszej nowej prozy. Te pozycje, które dotychczas zanotować można w tym zakresie, są jednak zdobyczą ostatnich dwu lat, jak najważniejsze z nich: „W rodzinie Lebedów” Gałaj, „Most nad urwiskiem” Olchy, „Traktory” Zdobych, „Zalewski” Polak. Przedmiotem liczna grupa pisarzy, interesujących się tematyką wiejską, dokonywała jedynie obrachunków z minionych czasów kryzysu i nędzy chłopskiej za rządów sanacji lub obrazowała okres okupacji; rzadkim i bardzo już ambitnym wydarzeniem była książka ukazująca moment wyzwolenia i usługująca rysować dalsze perspektywy życia chłopskiego w Polsce Ludowej.

Zasadniczym przełomem stała się tu, jak w wielu dziedzinach naszego życia, likwidacja odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego. Rewolucja dotychczasowych błędów na odcinku spraw wsi i doniosła decyzje Partii w zakresie przygotowania podstawowej przebudowy naszego ustroju rolnego w kierunku spółdzielczości produkcyjnej otworzyły nowe zadania i nowe możliwości także i przed literaturą. Przed pisarzami staje oto jeden z pasjonujących tematów doby walki o socjalizm: jedno z najcięższych zmagani, jakie w psychice współczesnego człowieka toczą pierwiastki nowego ze starym, wielki przełom, przeżywany przez zafasane, zasklepione w ciasnych ramach drobnej gospodarki indywidualnej chłopstwo pracujące, które uczy się rozumieć piękne słowo „nasze” i uczy się myśleć pojęciami socjalistycznego narodu.

Dotąd jeszcze wielki ten proces, murtujący głębię narodowego życia, nie uwidocznił się w pełni w literaturze. Chwytał go na gorąco reportaż, mówił o jego przebiegu korespondencje i wypowiedzi działaczy; fragment tego pasjonującego procesu chwytały ambitne formy literackie — nawet dramaturgia uprzedziła tu prozę powieściową sztuką Warmińskiego „Zwycięstwo”. Powieści, której osią i centralną sprawą byłoby powstanie, rozwój i krzepnięcie spółdzielni produkcyjnej dotąd jeszcze nie mamy. Pisarze gromadzą materiał, dokonują prób, wypracowują elementy tego wielkiego tematu. I tu musimy im przyjąć z pomocą życie, wzbogacając i różniąc zakres oształtanych informacji i doświadczeń.

Najważniejszą z dotychczasowych prób jest niewątpliwie powieść Bartelskiego, wyróżniona tegoroczną Nagrodą Państwową. I ona nie jest jeszcze kroniką powstania i rozwoju spółdzielni produkcyjnej, lecz podsumowaniem przez nią elementów przełomu w życiu wsi w istotnej mierze sygnalizując zbliżenie się nowych form życia, ukazując siły, które walczą o ich realizację, zastrzegając sobie walkę, dojrzywanie jej form i metod. Książka Bartelskiego obrazuje etap historii wsi powojennej, który przygotowuje ścieżki zasadniczej przebudowy ustroju rolnego naszego kraju, wychowując masy biedniackie w rozumieniu własnej sytuacji klasowej konieczności walki o nowe jutro. Jest to okres, w którym w ogniu kolejnych batalii Partii, prowadzonych pod hasłem czujności, o zwarcie własnych szeregów i unieszkodliwienie wrogich agentów, przebiera na siłę walka z odrastającymi mackami kapitalizmu, z niezłamaną jeszcze przez władzę ludu siłą kulactwa. Spółdzielczość młokożycowska i kółkarska nie była już chroniona likwidacją obszarnictwa. Biedniak, zagospodarowując z trudem ziemię, otrzymując wskutek reformy, borykający się z brakami inwentarza, ze skutkami wojennych zniszczeń, nie był niejednokrotnie w stanie, mimo pomocy państwa, usamodzielnic się i wyrwać z łap wyzyskiwaczy. Skomplikowana sieć długów, odrobków, drogo opłacanej „sąsiedzkiej pomocy” kulackiej nie tylko, trzymała biedotę w ekonomicznej zależności od wielomorgowego sąsiada lub sklepikarza, lecz pozwalała kłoc obrotowych „swojaków” wodzić „działów” na pastkę i opanować w pełni władzę w gromadach i gminach. Kulackie kreatury na urzędach wojewódzkich czy sołeckich, zakłuczające zarządy spółdzielni i „rady sklepowe” — oto środki, jakimi można było podporządkować sobie liczne dziedziny chłopiego życia, zdusić odruchy protestu, przejąć na użytek wewnętrzny kliki wszystkie mobilizowane przez władze ludowe środki pomocy wsi biedniackiej i średniackiej.

Książka Bartelskiego jest odbiciem doniosłego w historii wsi polskiej etapu, niezbędnego dla wprowadzenia jej na szeroki trakt, wiodący do socjalizmu. Elementy przemian, przygotowujących przełom zostały trafnie wydobyte przez autora. Walka z kliką kulacką kierowaną przez rodzinę Nieszpór słusznie została wskazana jako zasadniczy podkład wszystkich spraw Marcysiewa Starego, jako istotna część składowa każdej akcji, zmierzającej do wyrwania wsi z impasu

mało produktywnej drobnej gospodarki indywidualnej. Walka o wypięcenie uchwały gromadzkiej deklarującej sprzedaż zboża państwu, uzdrowienie stosunków w sklepie spółdzielczym i zarządzie ZSCH, wykorzystanie pomocy i rady robotniczych brzdęków, wreszcie wyrwanie gromadzkiej drogi z łap kulackich — to zasadnicze akcje, podejmowane przez aktyw biedniacki kierowany przez działaczy miejscowego koła partyjnego, w których krzepnie świadomość klasowa pracującego chłopstwa, rośnie nienawiść do wyzyskiwaczy i poczucie siły gospodarzy Ludowego Państwa. Ale akcje te, w intencji ich przywódców, przygotować mają chłopów do kroku, który będzie potężnym wyłomem w bagażu pojęć drobnego właściciela — do spólnego siewu na Ruczaju.

Ośmiohektarowy obszar dawniej ziem dworskiej, przydzielonej z reformy aż dwunastu biedniakom, rozdzielony na niewielkie splechety, położony w dużej odległości od wsi był tak niedogodny do uprawy, że właściciele wydzierżawiali za wycieczką swe działki młynarzowi. Walka między rutyną gospodarowania „na swolm”, a tak skromnym jeszcze początkiem wspólnego życia jest nie napróżno długa i trudna. „Ludzie z za rzeki” — prawie wszystkie „działy”, gnieźdzące się w starych czworakach dworskich, szukające nowych form rozwiązywania trudności życiowych, wiedzą, że czynią krok stanowczy. Zdają sobie sprawę, że w konsekwencji doprowadzi ich to kiedyś do nowych pięknych domów wsi spółdzielczej, do ludzkiego życia członków spółdzielni produkcyjnej, o jakim słuchają z nieufną zazdrością. Przelamuje się oto ciasna praktyka stulecia. Kubas z uśmiechem zbyska lek Szymonka o zagrożenie między: „...Znak! zostawiam. Ale i wy do nich na przyszły rok sami na pewno nie wrócicie.” „Ale zanim pszenica społeczna wyrośnie pod niebo”, zanim nawet dojdzie do tego, by chłopci potrafili spokojnie dyskutować o kasowaniu miedz, ileż nakotuje się we wsi, ile ciężkich walk stoczą chłopskie sumienia, ile plotek, oszczerstw, intryg i szantaży puszczą w ruch kulacy — silnie bowiem zakorzenione jest zło starego ładu w Marcysiewie Starym.

Słusznie zeząbiają się ze sobą ściśle w książce Bartelskiego te dwie wielkie sprawy. Tylko przez nieustępliwą walkę ze starym łaodem, przyczyną wrogich ludowi, chichliwych łapach kulackich i nieufnym, tchórzliwym indywidualizmem zgnębionego biedniaka, znaleźć można drogę do nowego życia. Tak jak walka z niedobitkami kapitalizmu podjąć można skutecznie tylko w pełnej świadomości celów, do których się dąży z jasnym obrazem nowego przed oczyma. Jednak zachwiane zostały tu poważnie proporcje w autorskim opracowaniu obu spraw, widać dość istotne pokłębienie kompozycyjnej powieści. Układ zdarzeń powieściowych nie sugeruje nam, że wszystkim, co się w tej chwili na wsi dzieje, ważne jest głównie o tyle, o ile służy zbliżeniu jej do socjalizmu. Wskazane powyżej elementy walki z kulakami na różnych służnie i bogato różnicowanych przez autora polach, nie zostały należycie scharakterizowane i podporządkowane zasadniczemu problemowi, o rangi którego ma chyba wszelkie prawa pretendować sprawa wspólnego siewu. Dzięki temu wielkie zagadnienie dorastania chłopów do rozumienia idei spółdzielczości produkcyjnej nie stało się w dostatecznej mierze reflektorem oświecającym bieg rzeczy w Marcysiewie Starym. Stąd sprawy uboczne, jak walka wyborcza w ZSCH, czy walka z Nieszpórą o drogę gromadzką rozstrząsać się nieopominie. Złazsza sprawa targu o drogę została wadliwie wysunięta na czoło w końcowych partiach książki, stanowiąc dla nich moment kulminacyjny, rozwiązujący szereg najistotniejszych węzłów fabularnych powieści. Sprawa pola na Ruczaju została wskutek tego usunięta w cień, autor nie na niej koncentruje swą uwagę, rozstrzyga ją już pozbieżnie, nie dopowiada najistotniejszych spraw.

Czytelnik traci tym samym z oczu pasjonujący proces przełamywania się w psychice chłopskiej nieufności i lęku przed doniosłą decyzją, proces dojrzywania wiary we wspólne jutro. Pisarz ambitnie naszkicował pierwsze zarysy problemu, zamierzył go zobrazować w szeregu indywidualnych losów, nie doprowadził jednak sprawy do końca, czym zubożył wartość ciekawie zaprojektowanej psychologicznej ilustracji walki o socjalizm na naszej wsi.

Postać niewątpliwie udaną, przemyślaną, zarysowaną na tle w pełni opisanego piarskiego przez Bartelskiego problemu, jest sołtys Marcys — biedniak zaplany w sieć kulackiej lichwy. Jako sołtys jest kreaturą kulacką, początkowo pilnym donosicielem, później pokornym klientem, nie umiejacym się zdobyć na obronę interesów gromady. Unieależnienie się Marcysia od rodziny Nieszpórów jest skut-

kiem nie tylko głęboko uczuwanego pogardy ludzkiej, przebranej mianem kulackiej bezczelności i rozmów z ludźmi partii, pomagających mu znaleźć drogę obowiązku. Decydujące znaczenie ma tu fakt, że Nieszpórówie przegrywają walkę z gromadą o drogę mimo sztuczek warszawskiego mecenasa, mimo stronnictwa wyroku „prawdziwego przedwojennego sędziego”. „Droga jest nasza. Bo tak chce naród” — mówi Kubas. Uchwała Powiatowej Rady Narodowej ukazuje Marcysowi nacznie, że złamana została potęga wyzyskiwaczy, wspieranych niegdyś przez reakcyjny aparat państwowy. Rewolucja nie była jeszcze dla Marcysia reforma rolna



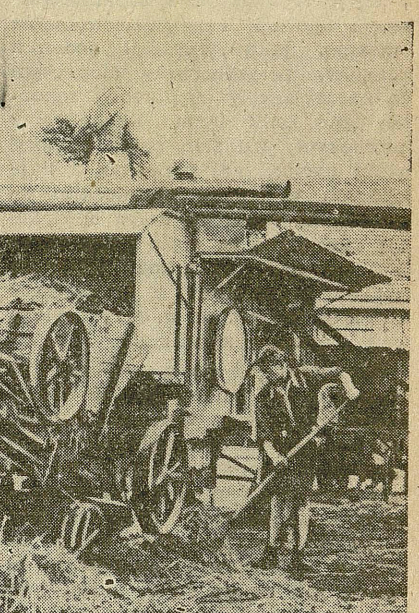
— pod dyktando Nieszpórów agitator przeciw niej, a i sam biorąc w końcu ziemię pańską drżał przed kulackim terrorem. Rewolucja nie była też wyborem jego — biedniaka na urząd sołtysa — wie-przekonywającą wygląda sprawa decyzji Hanki, ufnę w siłę swych mógów, gardzące „działostwem” kulacki, nagle zrywającej z rodziną i idącej za mężem do izby czarownic. Niebezpieczna i dla książki i dla autora jest ta zdawkowa pobieżność, że jaką załatwia się on z najistotniejszymi sprawami swych bohaterów. Podobnie ma się sprawa i z postaciami działaczami. Brak im głębi, perspektywy historycznych losów biedniaka, który dochodzi do zrozumienia trudnej sprawy swojej klasy. Toteż, jak blade cienie migają w powieści pracownicy partyjni, nieprzekonywająco i banalnie rysują się postaci robotników, znowu przeżywających swoje „przełomy” na polowie stronicy druku.

Sprawa Marcysia to trafne i słusznie ujęta sprawa wielotysięcznych mas biedniackich, wyzwalających się z łańcuchów pod jarzma przyczynających wyzyskiwaczy. Pośiada też dlatego wielką wymowę życiowej prawdy i realistycznej typowości, została jednak zarysowana na tle sporu gromady z kulakiem o drogę, a nie w związku ze sprawą siewu. Ta ostatnia natomiast, zwłaszcza w partiach końcowych, spłynęła w dużej mierze schematami. Ogromnie ważną dla zrozumienia spraw dzisiejszej wsi jest postać Szymonka — klasycznego „chwiejnego średniaka”, powodowanego na przemian to lekkim przed nowościami i pogardą dla „działów”, to niechęcią dla bogaczy i szacunkiem dla woli gromady, unikającym, o ile się da, wiążących decyzji, pragnącym w ostrych starciach walki klasowej, narzucającej konieczność niedwuznacznego wyboru, znaleźć wyjście pośrednie przy pomocy własnych „chytlich” kalkulacji. A jednak ta kapitalna postać z naszego życia została przez Bartelskiego naszkicowana ciekawie tylko w początkowych partiach książki. Motywy, jakie skłoniły Szymonka do zerwania układów z młynarzem i zgody na wspólny siew, pozostaną dla nas do końca tajemnicą — a tu wszak przepływa istotny nurt penetracji nowego.

Ogólnie biorąc, ujemną cechą ambitnej i słusznej w wielu ujęciach powieści Bartelskiego jest to, że szereg trafnie zaobserwowanych konfliktów wewnętrznych bohaterów, postawionych z wyraźną ambicją psychologiczną pogłębia obrazu nowego człowieka nie doczekało się jednak, konsekwentnej realizacji. Co więcej — lepiej nieporównanie zarysowane zostały postacie obozu kulackiego. Aleksander Nieszpór i jego syn Jedrus — miejski już wyga, dorabiający się na pokątnym handlu w jakiejś podejrzanej „budce”, poza tym członek Samopomocy Chłopskiej w Marcysiewie — to bystro zaobserwowana symbioza wiejskiego i miejskiego wydania żalosnych, niedodawianych resztek naszego kapitalizmu. Dużo trafności wykazał szkielet zresztą rysunek wiejskiego sklepikarza Urbana czy prezesa ZSCH z ramienia klik — Wójcika. Natomiast o wiele mniej prawdy życiowej posiadają sylwetki ludzi nowych.

Wyplątywanie się z kulackich sieci to ważny konflikt życiowy głównego bohatera książki Tomasza Świdzkiego. Kulackiemu zię-

ciowi partia pomaga zrozumieć konieczność zdecydowanego wyboru, by nieznaczące początkowo, oportunistyczne ustępstwa wobec środowiska nie odciągnęły go od towarzyszy, nie zamęczyły obrazu sytuacji, nie szkodziły w walce. Bitwa partii o czujność otworzyła oczy Tomasowi; potrafił odejść sam, zrywając siłą „wielkiego lasu”, jakim utrzymać go chciała klika, potrafił wyrwać z tego środowiska i zone, ukazując jej wartość innego życia. Cóż jednak wiemy o tym certym i ciekawym konflikcie poza schematycznymi uwagami autorskim zdawkowo sumującymi: „Jednak wyjazd do Pultuska na konferencję partyjną wzmógł w nim niepokój.



Wracając pełen sprzecznych myśli, wzburzony, przejęty do głębi tym, co usłyszał. Zrozumiał swoje położenie — odchodził od towarzyszy”. Jeszcze bardziej migawkowo i nieprzekonywająco wygląda sprawa decyzji Hanki, ufnę w siłę swych mógów, gardzące „działostwem” kulacki, nagle zrywającej z rodziną i idącej za mężem do izby czarownic. Niebezpieczna i dla książki i dla autora jest ta zdawkowa pobieżność, że jaką załatwia się on z najistotniejszymi sprawami swych bohaterów. Podobnie ma się sprawa i z postaciami działaczami. Brak im głębi, perspektywy historycznych losów biedniaka, który dochodzi do zrozumienia trudnej sprawy swojej klasy. Toteż, jak blade cienie migają w powieści pracownicy partyjni, nieprzekonywająco i banalnie rysują się postaci robotników, znowu przeżywających swoje „przełomy” na polowie stronicy druku.

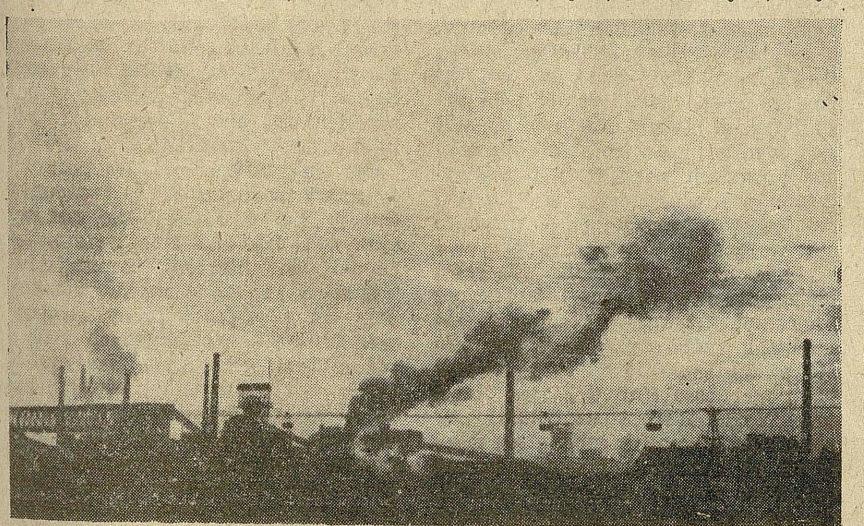
Komentarz autorski nieraz niepotrzebnie relacjonujący sprawę, które chętniej zobaczylibyśmy w bezpośrednim toku akcji, grzeszy u Bartelskiego często zbytnią aluzyjnością. Autor rwie ciąg akcji, niejednokrotnie zaciera ciągłość następujących po sobie zdarzeń, nie raz stwarza celowe lub nieumyślne niejasności sytuacyjne nuczające czytelnika, zwłaszcza mniej wyrobionego, do którego przecież też powinna dotrzeć ważna i słuszna książka Bartelskiego. Razić też może niewyzyskanie szeregu elementów, występujących w aluzjach dialogu, brak ich w akcji, w ogólnym obrazie sytuacji chłopskiej i tak np. niewątpliwie oparcie Nieszpóra o ideał „Polaka i katolika”, sojusz z plebianą i ceną jako sojusznik armii tercjanek wychwytyjemy tylko z niejasnych nampeknień, nie odgrywa to większej roli w akcji zubożając ją o tak ważny element współczesnej walki klasowej.

Książka Bartelskiego, podsumowująca pewien etap historii wsi, powtarza szereg jej ujęć z dotychczasowej „literatury przedmiotu”. Spotykamy w niej — i słusznie — wiele spraw znanych nam z reportażu i korespondencji terenowych, czy z ujęć nowelistycznych. Sprawy te powtarzać się muszą tak, jak przy całej różnorodności i bogactwie życia powtarza się zasadnicza linia klasowej walki, powtarzają się starcia awangardy mas pracujących Polski z przyczajonymi siłami reakcji. Jednak te „zwykłe sprawy” naszej rzeczywistości nie zostały przez Bartelskiego dość czujnie oczyszczone z pewnych banalnych już i wytartych elementów.

Debiut powieściowy Lesława Bartelskiego wykazuje, że umie on trafnie i szybko obserwować współczesność i wychwytywać z niej najistotniejsze konflikty naszej rzeczywistości. Państwowa Nagroda słusznie wyraża uznanie dla ambicji młodego pisarza, który, jeśli nawet nie potrafił w pełni bezbłędnie i odkrywczo zrealizować wszystkich swych piarskich planów, zwłaszcza w zakresie rysunku postaci bohaterów, to w każdym razie ukazał wielki i bogaty smak naszego życia w jego najistotniejszym, rozstrzygającym nurcie.

Krystyna Leśniewska

*) Lesław Bartelski, „Ludzie z za rzeki”, PIW, 1951.



czył ich w swej powieści. To przekraczało zakres jego wiedzy o świecie. Stąd też, zamieszany w zakochaniu dzieła syntetyczny obraz Łodzi, mający podsumować reymontowską prawdę o kapitalizmie, staje się wprawdzie odbiciem faktycznego stanu rzeczy, ale odbiciem w fałszywym zwierciadle, odbiciem, nieuczającym właściwie proporcje, portretu w części jedynie podobnym do modelu. W oym podsumowaniu piarskiej wiedzy o aktualnym wówczas układzie stosunków społecznych rozpoznajemy wszystkie znamienne symptomy drobnomieszczańskiego ograniczenia. Czytamy tam: „Wszystkimi drogami, polyskującymi kalużami wód wiosennych, które biegły ze wszystkich kątów świata do tej „Ziemi obiecanej”, wszystkimi ścieżkami, co się wily wśród pól zielonych i sadów kwitnących, wskróś lasów pełnych zapachów brzoź młodych i wiosny, wskróś wiosek zapadłych, moczarów nieprzebytých ciągnęły tłumy ludzi, setki wozów skrzypiało, tysiące wagonów leciało jak błyskawice, tysiące wesołnich wznosiło się i tysiące roz-

zbytich świadomości klasowej proletariatu. Jakże jednak przyczyny spowodowały reymontowską akceptację naturalistycznej poetyki w czasie kreowania obrazu tej drugiej Łodzi, mieszczańskiej nie poza palaczkami Bucholca, Mendelsona, Gruenszpana i Kesslera? Oczywiście i tu zawiązała chwilejność drobnomieszczańska. Ukazał w prawdziwym świetle walkę klasy robotniczej, to znaczy przecież opowiedzieć się po stronie proletariackiej rewolucji, uznać znaczenie SDKPiL, stać przy boku Marchewskiego i Dzierżyńskiego. Na to zaś drobnomieszczański, oscylujący pomiędzy burżuazją a proletariatem, reprezentant klasy przejściowej, mimo całego radykalizmu nie może się zdobyć. To Rubikon, którego nigdy nie przekroczył. Dlatego więc błąd w interpretacji położenia klasy robotniczej, błąd niewątpliwie popełniony przez Reymonta w „Ziemi obiecanej” stanowi konsekwencję, tego, iż autor powieści nie był pisarzem rewolucyjnym, lecz przy drobnomieszczańskiej tylko krytyce kapitalizmu.

Lech Budrecki

SERGIUSZ JAŚKIEWICZ

ZE WSPOMNIENI PRZEDWRZEŚNIOWYCH...

Czytam: — WARSZAWA (PAP). Delegaci na III Światowy Zlot Młodych Bojowników o Pokój zjeżdżają się do Warszawy, gdzie rozpoczną się ostatnie przygotowania do wspólnych wystąpień na Zlocie... BERLIN (ADN). Policja adenaurowska czyni wszystko, aby uniemożliwić młodzieży z Niemiec zachodnich wzięcie udziału w Zlocie. Policja przeprowadza masowe aresztowania...

Siegam myślą wstecz, do szkolnych lat, do dni pierwszych prób samodzielnego myślenia, pierwszych konfliktów „zielonego okresu”, pierwszych dociekań i pierwszych rozterek, pierwszych, niedojrzałych, młodzieńczych ocen sytuacji politycznej, czynionych z zapamiętaniem i uporem. Przypominam sobie sensację, jaką wzbudził jeden z kolegów, przyniesiony z pamiętnikiem do naszej szkoły bezimienny raport „Die Hölle von Dachau”, w mrocznym tłumie przy pomocy wielu słowników, gramatyk i najlepszych w języku niemieckim uczniów, od deski do deski odczytany; pamiętam, że część z nas określiła ów raport jako „stanowisko niemieckich obszarów i słabości uległych im rządów, były przyczyną, że porozumienie przez 9 lat nie zostało osiągnięte... Kiedy Ulrich Rauscher doprowadził do zawarcia układu — to układ ten został wprawdzie ratyfikowany przez polski sejm, lecz rząd niemiecki, bojący się Hindenburga, nie odważył się nawet przedłożyć tego traktatu do ratyfikacji przez Reichstag, tak że pozostał on świątkiem papieru... Kto zawsze tak, jak ja walczył, o niemiecko - polskie porozumienie i z tego powodu ochrzczony został mianem zdrajcy kraju, ten nie może powstrzymać się od śmiechu, gdy widzi hitlerowski flirt... Hitler zdołał na lat 10 sprawę „korytarza” z porządku dziennego... musielibyśmy sławić jego rozum polityczny, gdyby nie miał racji dziennikarz amerykański Leland Stowe, który powiedział „Hitler ma dwa głosy — jeden dla zagranicy, drugi dla własnego narodu...” Pilsudski jest przede wszystkim antyrosyjski... Dlatego powołał do walki w 1914 roku legion polski o boku mocarstw centralnych... Kiedy go skłaniano do podpisania paktu o nieagresji z Sowietami, przekąślił się pro-wschodniej orientacji... i wymarzył sobie dla przeciwwagi układ z Niemcami, zwłaszcza, że dyktatorska forma niemieckiego ustroju jest polskiemu dyktatorowi bardzo sympatyczna... Czego chce Hitler? Jasne jak słońce: kredytu w angielskich bankach i czasu na militarne przygotowanie... Polska nie chce niczego, prócz spokoju... Przeszło 1/3 jej ludności składa się z mniejszości narodowych, więcej nie mogaby wprost strawić... Polskie plany zabiorcze wymusiły niemieccy narodowi socjaliści dla podżegania narodu niemieckiego... Pilsudski chce wygrać Niemcy przeciw Rosji, Hitler — Polskę przeciw Francji. Tu jest pogrzebany pies... Kto dostanie w skórkę? Bywało już w historii, że dwóch mężów stanu usiłowało się nawzajem wykpić. Później zawsze okazywało się, że obaj w końcu wpadali¹⁾).

Pamiętam już po wszystkim, po Wrześniu, jak trudno było w obozie koncentracyjnym tym nielicznym, rozróżniającym dwojakich Niemcy i dwojakich Niemców, mówić na temat tych rozróżnień z towarzyszącymi niedolami, jak często spotykały nas za to rozróżniające stanowisko o belgi z zacietrzewieniem rzucając na twarz, jak ciężko było, mimo wielu przykładałów, przekonywać, że linia podziału naszych wrogów i przyjaciół przebiega nie narodowym lecz ideologicznym szlakiem...

Wszystkim tym, którzy bezpośrednio nie zetknęli się z niemieckim ruchem antyhitlerowskim, nie łatwo jest poprzestać na ogólnikowych stwierdzeniach, że taki ruch istniał. Na zachodniej naszej miedzy są przyjaciele — chcemy ich poznać, chcemy poznać ich drogę, ich walkę o sprawiedliwość społeczną i socjalizm. O materializm w tej dziedzinie nie łatwo. Hitlerowcy wydali wyrok całopalenia na wszystko, co sprzeciwiało się ich ideologii. Wojna sama przez się dokonała dzieła zniszczenia. Nim zabiorą w tej sprawie głos bardziej powołani ode mnie — chcę przedstawić garść takich materiałów. Tych najoryginalniejszych: nie o pracowniowych, po wojnie przez postępowych niemieckich historyków, o które najłatwiej, nie z wydawnictw VVN (Związku Ofiar Faszyzmu), o które też nie trudno (choć istotnie i z tych wydawnictw nie jeszcze nie doczekało się wydania w języku polskim, że wspomnę choćby broszurę p.t. „Widerstand im Dritten Reich”...), ale z egzemplarzy bojowych pism niemieckich z okresu tuż przed, w trakcie i po puczu hitlerowskim. Chcę przytoczyć zdania Niemców, o faszyzmie, o Hitlerze i jego ruchu, o sytuacji niemieckiej i międzynarodowej w tamtych latach, o sprawie polskiej, o Pilsudskim.

Swiadome nie siegam w artykule mającym charakter osobistych wspomnień, do powszechnie dziś już znanych wystąpień i wypowiedzi Thaelmanna, Piecka, Ulbrichta i wielu innych czołowych działaczy Kom. Partii Niemiec (KPD), głównego ośrodka walki z faszyzmem hitlerowskim w Niemczech. Z trudem bowiem docierały one w latach 30-tych do naszego środowiska.

Ograniczę się do przypomnienia bardziej nam wówczas znanych i dostępnych wypowiedzi tej części drobnoniemieckiej, postępowej inteligencji niemieckiej, która w służnej trosce o przyszłość narodu niemieckiego, nie bez wahań i oporów zdobyła się jednak na polowiczność (bez obnażenia korzeni hitlerizmu i jego rozgałęzień międzynarodowych) krytykę faszyzmu niemieckiego.

Samo skonfrontowanie opinii postępowej prasy niemieckiej z wypowiedziami faszystów obcych i rodzimych przekonują niewątpliwie o słuszności twierdzenia, że Niemcy postępowe są naszymi przyjaciółmi, że byli i są naszymi przyjaciółmi antyfaszyści niemieccy, którzy umieli bronić naszych spraw w Niemczech po puczu hitlerowskim wtedy, kiedy nasi przedwrześniowi radcy znaleźli się w jednym z Hitlerem obozie...

Oto jak np. przedstawiciel tej liberalów niemieckich Gerlach ocenił hitlerowsko - pilsudczykowski flirt:

„26 stycznia Hitler zawarł z Polską układ pokojowy... W Berlinie otwarto pod piękną firmą... niemiecko - polskie biuro informacyjne... nagle odkryto w Berlinie polską kulturę... Polski tenor Jan Kiepura śpiewał w Berlinie polskie piosenki na niemieckie narodowo - socjalistyczne Pomoc Zimową... Minister Rolnictwa Darré delegował do Warszawy swojego szefa sztabu... Delegacja studentów z Królewca... pojechała do Zakopanego i po drodze została uroczystie przyjęta w Warszawie przez swoich polskich współwyznawców... Polska misja wojskowa... odwiedziła szkołę kawalerii w Hannoverze... Nic nie ma zakładać niemiecko -

polских miodowych miesiecy... Swinie, które Polska musiała wywozić, a których Niemcy nie chcieli wwozić były dotąd przeszkodą w porozumieniu... Teraz sam Pilsudski z Hitlerem żyją jak „frère et cochoh”... „Pollacken” awansowali wreszcie do miana Polaków, aczkolwiek jeszcze nie do miana przedstawicieli wyższej, nordyckiej rasy... „Ostatnią koncesją na rzecz antypolskiej przeszłości jest zdanie barona von Reibnitz o bezmyślności wojny celnej: „Późno, ale jeszcze nie za późno zrozumiano to w Berlinie i w Warszawie i wyciągnięto wnioski... Jest to... fałszerstwo historii na niekorzyść Warszawy, panie baronie. Nigdy nie chciano tam wojny celnej... Jedynie stanowisko niemieckich obszarów i słabości uległych im rządów, były przyczyną, że porozumienie przez 9 lat nie zostało osiągnięte... Kiedy Ulrich Rauscher doprowadził do zawarcia układu — to układ ten został wprawdzie ratyfikowany przez polski sejm, lecz rząd niemiecki, bojący się Hindenburga, nie odważył się nawet przedłożyć tego traktatu do ratyfikacji przez Reichstag, tak że pozostał on świątkiem papieru... Kto zawsze tak, jak ja walczył, o niemiecko - polskie porozumienie i z tego powodu ochrzczony został mianem zdrajcy kraju, ten nie może powstrzymać się od śmiechu, gdy widzi hitlerowski flirt... Hitler zdołał na lat 10 sprawę „korytarza” z porządku dziennego... musielibyśmy sławić jego rozum polityczny, gdyby nie miał racji dziennikarz amerykański Leland Stowe, który powiedział „Hitler ma dwa głosy — jeden dla zagranicy, drugi dla własnego narodu...” Pilsudski jest przede wszystkim antyrosyjski... Dlatego powołał do walki w 1914 roku legion polski o boku mocarstw centralnych... Kiedy go skłaniano do podpisania paktu o nieagresji z Sowietami, przekąślił się pro-wschodniej orientacji... i wymarzył sobie dla przeciwwagi układ z Niemcami, zwłaszcza, że dyktatorska forma niemieckiego ustroju jest polskiemu dyktatorowi bardzo sympatyczna... Czego chce Hitler? Jasne jak słońce: kredytu w angielskich bankach i czasu na militarne przygotowanie... Polska nie chce niczego, prócz spokoju... Przeszło 1/3 jej ludności składa się z mniejszości narodowych, więcej nie mogaby wprost strawić... Polskie plany zabiorcze wymusiły niemieccy narodowi socjaliści dla podżegania narodu niemieckiego... Pilsudski chce wygrać Niemcy przeciw Rosji, Hitler — Polskę przeciw Francji. Tu jest pogrzebany pies... Kto dostanie w skórkę? Bywało już w historii, że dwóch mężów stanu usiłowało się nawzajem wykpić. Później zawsze okazywało się, że obaj w końcu wpadali¹⁾).

Warto zauważyć, że w tym samym okresie, kiedy z trybuny niemieckich antyfaszystów padły te słowa, tuż po zawarciu paktu między Hitlerem i Pilsudskim, w wydaniu nowym (też po pakcie) rosenbergowskiego „Mit XX stulecia” faszyzowscy „przyciaciele” polscy czarno na białym stwierdzali niedwuznacznie: „w tej walce... nie można absolutnie liczyć się z impotentnymi i bezwartościowymi Polakami, Czechami itd... Muszą oni być zmieceni na wschód²⁾... Oczywiście pilsudczykowski klika nie zwracała uwagi na rosenbergowskie „dzieło”, a tym bardziej na ostrzeżenia antyfaszystów niemieckich.

Przeczytajmy artykuł niemieckiego „publicysty antyfaszystowskiego z roku 1934 z ukazującej się już w Wiedniu „Die neue Weltbühne”³⁾, p.t. „Kiedy będzie wojna? — „Kapitał musi procentować... Także armaty, twierdze, samoloty potrzebne są kapitałowi... Gromadzenie takich wartości bez ich użytkowania byłoby marnotrawstwem... Zbrojenia Niemiec stwarzają podstawy dla nadchodzącej wojny... Z historycznego punktu widzenia odpowiedzialność za ten smutny rozwój wypadków obciąża brytyjską politykę „balance of power”... „Gierki dyplomatów nie powstrzymają wojny... Alianci przestają być godni zaufania... Cała Europa pachnie prochem... ani konferencje, ani paki o nieagresji nie usuną przyczyn nadchodzącej wojny... Czy nie ma wobec tego żadnej siły pragnącej pokoju i mogącej wywalczyć go? Owszem — jest jedna. My sami jesteśmy tą siłą. My, ludzie pracy. Miliony, których krew ma być poświęcona, stanowią olbrzymią potęgę, jeśli równie dzielnie, jak z wrogiem zewnętrznym — walczyć będą wreszcie przeciw wewnętrzniemu uciskowi... Faszyzm paraliżuje siły... Jeśli ofiary nadchodzącej wojny zrozumieją gierkę, jaką chce się z nimi zagrać — rozpoczyna rewolucję. Rewolucja w krajach do wojny faszystowskich krajach jest jedynym środkiem przeciw... przygotowywanym mordom masowym. W rozgrywe między wojną, a rewolucją zamknięty jest los Europy...”

Źródła tych wypadków? Mówi o nich Carl von Ossietzky: — „Czy się Schleicher układa z Adolfem, czy przeciw Adolfowi, czy rządzą z

Hugenbergiem, czy też ciśnie go do ściany — zasada jest zawsze ta sama: totalizm i militarizm przeciw demokracji, socjalizmowi i republice... przeciw ludowi, wszystko jedno czy zasada ta jest otwarcie reprezentowana przez agrarny i przemysłowy feudalizm, czy maskowana przez kohorty Hitlera... Wszyscy ci... tworzą segmenty jednego i tego samego ideologicznego frontu. Walczą za sprawę reakcyjnych potęg i tylko niepewność naszych czasów wtłoczyła ich w różne uniformy... W gruncie rzeczy mogłaby partia nazistowska dziś z czystym sumieniem ustąpić z areny, uczyniła bowiem w krótkim czasie więcej niż mieli prawo oczekiwać od niej jej mocodawcy... Wstrzyknęła w krew faszyzm... przygotowała nastroje mające umożliwić nową katastrofę...”⁴⁾.

Jeszcze kilka wyjątków z publikacji Ossietzky'ego: — „Nie ma co ukrywać. Cały kraj wie już to już teraz: Prezydentem Rzeszy dyryguje kamaryla... wypróbowany staropruski wynalazek... funkcjonujący zawsze wtedy, gdy junkrom zaczyna się źle powodzić... Junkierstwo czuje się zagrożone i z tego powodu kamaryla otwarcie sięga po władzę... Dołączają się wielcy przemysłowcy, czującą nową koniunkturę... Oto kulisy (ustąpienia Schleichera, co było, jak wiadomo etapem w przygotowywaniu drogi Hitlerowi — przyp. mój. S. J.)... „Przy tym wszystkim podręczny już rolę odgrywa fakt, że ci panowie niezapewnie mogą się z sobą dogadać, że Hitler najpierw myśli o sobie i Papen najpierw myśli o sobie, a potem jeszcze o Kronprinz. To są już tylko maleńkie odcienie jednej i tej samej kontrowersji... Jeśli natychmiast i bezwzględnie nie powróci się do konstytucji — a do tego konieczne jest przede wszystkim ustąpienie prezydenta — to dogórny aparatarny tryb rządzenia spowoduje aparatarnie odolne metody obronne... Istnieje bowiem jeszcze prawo ludu do samoobrony... Ciężpiwość niemiecka nierazdiko kłusuje nie pytając kto na niej siedzi... Ale nawet gdyby klika, za którą nie stoi więcej jak 2% narodu, miała zamiar używać szpicruty i ostróg, to nawet wtedy to łagodne byłoby stanłoby w końcu dęba. (Autor rzuca hasło strachu generalnego, wywołując do jednoci niemiecką klasę robotniczą, gdyż brak tej jednoci prowadzi do klęski — przyp. mój. S. J.)⁵⁾

A teraz krótka notatka, adresowana do czytelników czasopisma, donosząca o powrotnym już aresztowaniu Carla Ossietzky'ego: „...Po wypadkach 27 lutego aresztowano szereg osobistości, wśród których znajduje się także Carl v. Ossietzky... Zapewniamy, że uczynimy wszystko... co tylko... w dzisiejszych warunkach jest możliwe, aby przywrócić mu wolność... Wiele powodów... uniemożliwiło nam tym razem natychmiastowe... zajęcie stanowiska wobec wyniku wyborów... Mamy prawo stwierdzić w tym momencie, że stale podnosiliśmy nasz ostrzegający głos... Tak, jak jest to bolesne — musimy stwierdzić: nasza krytyka, nasze ostrzeżenia okazały się bardziej niż uzasadnione. Mimo to będziemy pracować dalej!”⁶⁾.

Wielu z nich dotrzymało słowa i czy to na emigracji, czy w konspiracji, czy nawet w obozach, zaciętnie współpracę z jedną bezkompromisową, antyfaszystowską siłą w Niemczech, którą reprezentowała rewolucyjna partia klasy robotniczej

KOSTAS YANNOPULOS*)

W CELI SKAZANEGO NA ŚMIERĆ

Wiercie mi, mili bracia moi:
Osiągniemy upragnione Zwycięstwo!
Niechaj rozwinię się szeroko
Na drodze, leżącej przed nami.
Dziś nadszedł już ostatni czas.
Dojdziemy do Zwycięstwa.
Jeśli zdolamy przezwyciężyć w sobie
Trwogę i śmierć!...

Dzisiaj w Grecji
Od rubieży do rubieży grzmi i łączy się gromem
Zwycięski głos naszych dzielnych braci.
W rękach ich sztandar nasz widzę.
Proszę was: dajcie mi karabin,
Niech wystrzał mój zadźwięczy jak pieśń!

Tej nocy w mojej celi
Chłodnej i pustej jak grobowiec,
Towarzysz mój i ja —
Czekamy na wizytę śmierci... Wiemy,
Że przysjdzie i stanie przed każdym
I powie: „Bacność! Ja za tobą!”

A ty, Wolności, co płomień masz w oczach,
Ty nam pomagasz... Z tobą, jedyna,
Nie umrzemy!... Oto, o czym marzę!

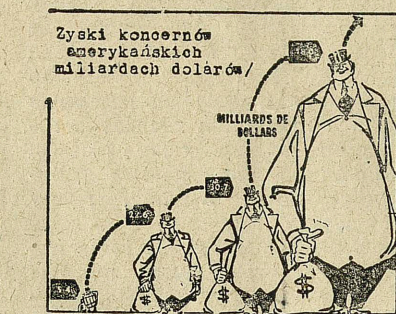
4. WINCENTY JĘDRKIEWICZ

*) Kostas Yannopoulos — wybitny postępowy poeta grecki, rozstrzelany przez monarcho-faszystowskie władze swej ojczyzny, w dn. 6 maja 1948 roku. Jury międzynarodowego konkursu na temat „Dlaczego walczyć o pokój?”, obradujące przed kilku dniami pod przewodnictwem Pablo Nerudy, odznaczyło wiersze Yannopoulosa pamiątkową nagrodą honorową.

FRANCISZEK ZAWAŁA

KTO ZA TO PŁACI?

W budżecie Stanów Zjednoczonych na rok 1948-49 wydatki na przygotowania wojenne były piętnastokrotnie wyższe w porównaniu z ogólną pulą tych wydatków z przed dziesięciu lat. W roku 1950 stanowiły one już blisko 70 proc. potwornie rozdętego budżetu kraju dolarowej „demokracji”. Budżet na rok 1951-52 — to w 87 proc. kwoty na zbrojenia, na produkcję bomby atomowej, na akcję dywersyjną i sabotażu w krajach milujących pokój, na kontynuowanie bestialskiej agresji na Korei. „Przemysł zbrojeniowy staje się największym



businesssem amerykańskim. Zamówienia na produkcję broni w samym tylko roku 1951 osiągnęły sumę 53 miliardów dolarów, co sześciokrotnie przekracza sumę zamówień wojennych w okresie czterech — listopad 1950 — tak pisał otwarcie już bez obłonek „United States News and World Report”, nieoficjalna tuba prasowa Wall Street.

Dla jakich celów i dla czyich zysków montuje się takie budżety i organizuje się takie zamówienia? Dla sił agresji, pożądających nowej wojny. „Wojna jest potrzebna im — mówi Stalin — dla utrzymania zysków nadzwyczajnych, dla ograbienia innych krajów. Są to milionerzy i miliardery, traktujący wojnę jako intratny interes, dający kolosalne zyski”.

Zyski monopolu, zatrudnionych bezpośrednio przy procedurze wojennym rosną w znacznie szybszym tempie niż sumy ogólne, osiągnięte ze sprzedaży. Trust stalowy Jones and Laughlin miał w roku 1950 o 26 proc. wyższe wpływy ze sprzedaży niż w roku poprzednim, ale za to czysty zysk wzrósł o 81 proc. Tak samo Armco Steel: 29 i 51 proc. Potężny morganowski trust stalowy miał podobne wyniki, przyczem różnice te występowały poczyniły z coraz większym nasileniem od momentu ataku na daleką, małą Koreę.

General Electric bierze aktywny udział w produkcji bomby atomowej. Bilans tej firmy rośnie na dostawach wojennych jak na drogach. Westinghouse Electric podwoił w ciągu ostatniego pięcioletnia swoje sumy bilansowe. Dyktator gospodarczy USA, szef tych koncernów, Wilson, dobrze krzyczy się wokół zapewnienia im dostatecznych zysków.

Dochody du Pont de Nemours wzrosły w ciągu krótkiego okresu o 173 proc., przy równoczesnym podwojeniu wpływów ze sprzedaży. Koncern, produkujący łożyska dla czołgów, samolotów oraz dział zmotoryzowanych, zanotował przyrost zysków o 340 proc.

Wskaźnik produkcji przemysłowej w USA według oficjalnych danych wzrósł o niewielki osetek, a zwyżka jest jednak wskaźnikiem tragicznego błędnego koła, w jaki wpędza gospodarkę wojenna imperialistyczne Stany. Na nią składa się bowiem katastrofalne skurczenie produkcji pokojowej i równocześnie zawrotne pięcie się ku górze krzywej, określającej produkcję wojenną. W styczniu br. wykrzusił musiał Truman: „W roku bieżącym nie można zwiększyć produkcji artykułów pierwszej potrzeby i trzeba ograniczyć produkcję wielu artykułów”. A cytowany już poprzednio United States News and World Report uzupełnia: „W roku 1951 gospodnie będą się miały na co uskarżać. Trudniej będzie odzwyczaić się po zniożnych cenach, da się odczuć brak dobrego mięsa i ceny jego wzrosną. Odcież dla dzieci stanie się niedostępna. To samo będzie z obuwem. Brak będzie rondli, patelni, niektórych gatunków konserw. Później może będziemy mieli do czynienia z kartkami”.

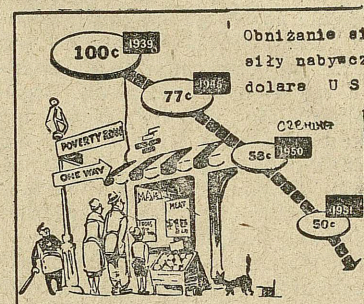
To jednak nie tylko rok 1951 jest takim rokiem, na taką sytuację pracowały lata imperialistycznego szaleństwa. Rok bieżący jest jedynie świadkiem narastania w przyspieszonym tempie dysproporcji, przeciwieństw i powszechnej nędzy podstawowych mas ludności.

Mówiliśmy o koncernach, pracujących bezpośrednio na usługi handlarzy śmierci. Ale oto wielki koncern, produkujący obuwie dla cywilnej ludności, International Shoe Company. Notuje on wzrost sumy sprzedaży o 4,5 proc. w ciągu ostatniego roku. Równocześnie jednak ceny na obuwie wzrosły w ciągu roku o 15 proc. Oczywiście oznacza to, że zyski koncernu nadal nie skurczyły się, ale równocześnie oznacza, że spada produkcja obuwia, że coraz mniej jest takich, którzy mogą sobie pozwolić na parę butów. Dwa wielkie koncerny piekarskie miały w roku

1948 łączny obrót w wysokości 280 milionów dolarów, w roku ubiegłym — 250 milionów... A więc spadek obrotów o 11 proc. przy równoczesnym wzroście cen chleba w tym samym czasie o 20 proc. Ołbrzymie kompanie owocowe niszczą tysiące ton owoców, byle wyrubować ceny. Zysk zysk ponad wszystko i za wszelką cenę. Wielkie domy towarowe notują w ciągu dwóch ostatnich lat minimalny bo jedynie o 1 proc. wzrost obrotów przy równoczesnym lawinowym wzroście cen. Przemysł budowlany już w pierwszych dniach agresji na Koreę zmniejszył budownictwo mieszkaniowe o 50 proc. Ogólny wskaźnik produkcji przemysłu lekkiego, wytwarzającego niezbędne artykuły na potrzeby ludności, spadł o 22 proc.

Tak szaleńcza polityka zbrojeń prowadzi do coraz trudniejszych warunków życia najbiedszych rzesz ludności. Dolar w rękach robotnika w warunkach ustroju kapitalistycznego ma zawsze znacznie mniejszą wartość niż w rękach fabrykanta, obszarnika czy bankiera. Ale orgia zbrojeń dysproporcji tej nadaje szczególnie jaskrawe piętno. W porównaniu z kapitalistą robotnik płaci znacznie więcej w stosunku do swego zarobku podatków, szczególnie podatków pośrednich, w niego to bije zwyżka cen, klęska inflacji, szalejące bezrobocie.

W roku 1940 podatki stałowały około 19 proc. dochodu narodowego USA, w latach wojny — najwyżej 26, a w roku bieżącym już 29 proc. Nie biją one w 60 wielkich rodzin, trzęsących gospodarką USA. Ci i im podobni mają w Waszyngtonie, w Kongresie swoich pełnomocników, którzy potrafią skutecznie odwrócić ostrze „śrub podatkowej od astronomicznych zysków koncernów, a skierować ją w robotników, pracujące chłopstwo i w drobną burżuazję.



Przeciętna płaca robotcza nigdy nie przekraczała w USA dwóch trzecich minimum egzystencji. Ostatnio znalazła się ona na poziomie 30 proc. tego minimum. Dziś jedna czwarta takiego zarobku rodziny robotniczej idzie na podatki, 40 proc. trzeba zapłacić za uragaję często prymitywnym wymaganiom mieszkaniowym. Niewielka reszta pozostaje na życie i na ubranie.

W ciągu 26 lat przed drugą wojną światową wskaźnik kosztów utrzymania wzrósł o niecałe 40 proc. A tymczasem w ostatnim dziesięcioleciu zwyżka ta wynosi aż 75 proc. Według oficjalnych danych ceny artykułów żywnościowych są obecnie trzykrotnie wyższe od cen z roku 1939. Od czerwca 1950 roku do czerwca bieżącego roku ogólny wskaźnik cen wzrósł znowu o 14 proc., a na artykuły żywnościowe nawet o 19 proc. W ten sposób od chwili agresji na Koreę wyrwanym 17 miliardów dolarów z coraz bardziej pustej kieszeni robotników amerykańskich.

Oto, jak ta reszta, która pozostaje robotnikowi na życie i ubranie, kurczy się w swojej siłę nabywczej, oto, jak ona stopniowo przechodzi do kieszeni kapitalistów.

Stanami Zjednoczonymi wstrząsają coraz większe ruchy strajkowe. 2.400.000 strajkujących i 38 i pół miliona straconych dni robotniczych — oto bilans tej walki z roku ubiegłego Setki, tysiące nowych strajkujących znowu w roku bieżącym. Żądania podwyżki płac przyniosły w efekcie wzrost funduszu płac o 2 proc. Ale po pierwsze: dotyczy to jedynie zatrudnionych, po drugie: równocześnie zyski koncernów wzrosły o 50 proc.

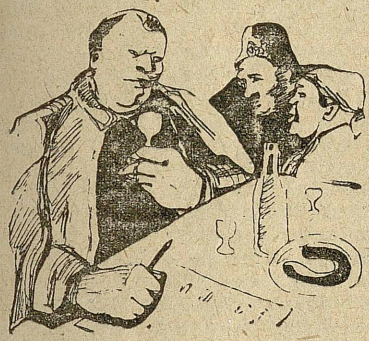
Zbrojenia i szaleńcza polityka imperializmu USA niszczą żywotne siły własnego narodu. Niszczą kraje, ulegające dolarowi. Na każdym z tych dolarów widnieje jak młot Lenin „gruda błota z „docho-dowych” dostaw wojskowych, które w każdym kraju wzbogacały bogatych i doprowadzały biedaków do ruiny. Na każdym dolarze ślady krwi”. Ten brud i ta krew narasta z krzywdą narodu amerykańskiego, wpędzanego w montowanie nowych awantur wojennych. Narasta z krzywdą ludów, pozostających pod władaniem kapitału. Narody świata podjęły zwycięską walkę o pokój przeciwko imperializmowi i jego pacholcom. Również naród amerykański zrzuca coraz skuteczniej bielmę ze swoich oczu. Wstrząsają życiem gospodarczym krają ruch strajkowy, organizujący walkę o chleb, wiąże się coraz silniej z walką przeciwko ustrojowi, przeciwko imperializmowi, o pokój i postęp, jak taran bijąc w zakusy Waszyngtonu i Wall Street.

Franciszek Zawała

SEWERYN SKULSKI

SAMOKRYTYKA KORESPONDENTA

Korespondent wszędzie spotyka się z trudnościami. A te trudności trafiają się nawet ze strony partyjnych komitetów gminnych i powiatowych, jeżeli do tych komitetów dostaną się ludzie niewłaściwi. Widząc np. „małe zło” w Komitecie Powiatowym PZPR w Lipnie skrytykowałem w prasie partyjnej to i owo. Ze skóry ich ludzie wyłaziły, żeby mnie z miejsca „uścić”. Grozili mi procesami, a następnie ile razy moja korespondencja ukazała się w gazecie, choć ich to nie dotyczyło (byli z dawnym komendantem milicji na „ty”)



wzywano mnie na posterunek w celu spisania nudnych i długich protokołów. Musiałem udawadniać, na jakiej zasadzie pisałem, sądził bowiem, że niewygodnemu korespondentowi zamknąć usta za to, że nie raczy się ich radzić, jak i o czym pisać. W Gminnym Komitecie Jastrzębie sekretarz dyktatorskim sposobem usiłował mnie skłonić do przedkładania mu każdej korespondencji do cenzury jeszcze przed wysłaniem do gazety, czego jednak się nie doczekał. Piszę dalej bez tak pojmowanej kontroli, a on Adam Zuchowski pociągnięty został do odpowiedzialności za lekceważenie linii Partii i nadużywanie władzy.

Byli także w powiecie ludzie pokroju Edwarda Słupskiego, Partia i władza ludowa — to ja — powiada taki pan. Ja — najwyższym autorytetem i doskonałością, a kto inaczej myśli, w głowę go i z góry. Taki człowiek stał na czele szkolenia partyjnego, będąc jednocześnie korespondentem „Gazety Pomorskiej”. Przechowywał z racji funkcji różne artykuły pisane przez zdolniejszych od niego korespondentów, w odpowiednim czasie przysyłał je do terenu lipnowskiego, przepisywał i tajemniczo, cudze prace stał do „Gazety Pomorskiej”, która drukowała „jako” jego własne, oczywiście płacąc mu za to. Takie to „partyjne szkolenie” szło na szkodę gmin powiatu. Powiatowe władze partyjne nie chciały zwrócić uwagi na „małe zło” ogłaszane w prasie przez mnie, ale musiało w końcu zwrócić uwagę na „wielkie zło” urosłe z tego. Ludzie z Komitetu Powiatowego powychłali, swoje żony do spółdzielni z towarami tekstylnymi i dalej uprawiać prywatny handel. Trzeba było zatem tych towarzyszy brać za kamizelkę i wyrzucić, aby ich miejsca zajęli uczciwi członkowie Partii.

My błędów i niedociągnięć nie powinniśmy się wstydzić. Rozumiemy, że znajdujemy się w okresie przejściowym z systemu kapitalistycznego na socjalistyczny i bez tego się nie obejdzie, aby jeszcze gdzie indziej wróg klasowy nie wciągnął się nawet na poważniejsze stanowisko. Rozumiemy, że nie każdy człowiek jest już należycie wychowany. Przecież cały ciężar wczorajszego wychowania wlecz się jeszcze za nami. Ale grzechem jest nie walczyć, nie wskazywać na zło społeczne. Wrogowie korespondenta różnych taktik używają, żeby go zwalczyć i zniszczyć do milczenia. Jedną z nich, to pomniejszenie jego znaczenia, bagatelizowanie, urabianie z niej o nim opinii. Gdy to nie pomaga usiłują mu grozić i straszyć nawet procesami, a jak i to zawodzi, udają przyjaciół korespondenta, zapraszają „na jednego” i kielbasę, aby go za to „kupić” niby się za przyjaźnię czy skromnotę, to wtedy „ptaszek we własne gniazdo robić nie będzie”.

Korespondenta chce się ugłaskać różnymi sposobami. Gdy wchodzi do sklepu i prosi o atrakcyjny towar, pytają ile chce, dają oczywiście więcej, a następnie osoba otrzymuje mniej. Albo stosuje się wręcz przeciwną taktikę, jak wobec korespondenta w Kielecie, gdzie w spółdzielni odmawia mu się tego, co jest dla wielu innych, aby go zmusić do milczenia. Niech nie pisze o nieporządku w spółdzielni.

Marcin Wielew zameścił w Nr. 23 „Wiś” z dnia 10.VI. nader ciekawy artykuł o roli i zadaniach korespondenta terenowego. Po przeczytaniu tego artykułu poczułem na winnym wytworzonej sytuacji, na terenie naszego powiatu lipnowskiego, a następnie we własnej gminie Jastrzębie.

Groźby Słupskiego i byłego skarbnika Powiatowego Komitetu a następnie obywatela procesu sądowego, nie wytrąciły mnie z równowagi, ale to nie wszystko. Dziś wiem, że winą jest nasza — członkowie Partii — wytworzone zło w lipnowskim. Lecz największa moja wina polega na tym, że ja nie byłem dość czujny, za leniwo walczyłem ze złem, które nie przysparzało przyjaciół na-

szej władzy ludowej. Szerzyło zniechęcenie do pracy. Nie reagowałem szybko na wypadki, gdy np. u małego chłopca szukano zboża w szufladzie u kuchennego stołu, gdy nie posłano żniwiarki do gromady Rumunki Karnkowo, bo tam „same kulaki” (a naprawdę doliczyć się można tylko trzech posiadaczy po 16 ha), gdy nie przydzielono jednemu z sołtysów węgla dętego, że nie jest partyjnym a dla „towarzysza” Zuchowskiego z każdego transportu węgla, przeznaczającego się po 10 metrów, a wдовwie z czworogłymi dziećmi nie sprzedaje się nawet 50 kilo. Oto co wyrabiali Słupscy i Zuchowscy.

Ludzie umieją jednak wybierać. Nie do Słupskiego i nie do Zuchowskiego dochodzą z bolączkami lecz do korespondenta. Ob. Kosicki z Chodorążka, leżącego w gminie sąsiedniej przychodzi i mówi:

— Słuchajcie. Jak ja długo mam czekać na wypłatę za pracę? Na kolonii naszej zajęł pomieścić osadę Czesław Jaskólski. Przed ubiegłymi żniwami osadę opuścił. Służenie Prezydium Gminnej Rady Narodowej Narutowo zarządzało sprzet i młockę zboża. Powiedzieli, że kto się zgłosi do pracy, będzie miał zapłacone. Ja mając 1 ha i 65 arów ziemi i rodzinie zgłosiłem się i inni tacy sami. Zboże zebrano i wymłócono, po czym odstawiano do spółdzielni. Już kilkakrotnie zgłaszałem się do gminnego urzędu po zapłatę, która wynosi 1.400 złotych, ale dotychczas ani przewodniczący Prezydium, ani nikt inny nie może mnie poinformować, kto pobrał pieniądze za zboże i kto nam za pracę zapłaci.

Jak uważacie, korespondencie, czy czekanie na zapłatę za pracę rok czasu, to trochę nie za wiele w Polsce Ludowej? Dodatkowo mam chorą żonę, coś z tego zarobku przydałoby mi się na leczenie.

Zgłasza się inny chłop z Makówca innej sąsiedniej gminy i mówi:

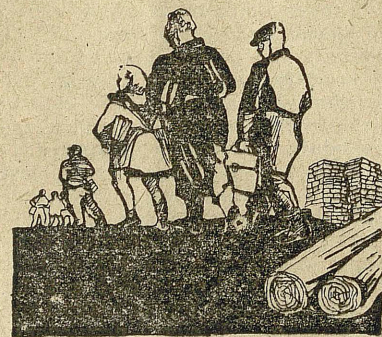
— Przyszedłem do was, bo mnie coś boli. Padł mi koń, którym był zaasekurowany na sumę 1.200 złotych. Za konia wypłacono mi 900 zł. Pytałem dlaczego tak jest, przecież opłacałem składki od sumy 1.200 zł i nie ja, ale ich człowiek, szczerwał zwierzę. Powiedzieli, że nie mogą wyjaśnić dlaczego, bo to jest tajemnica służbowa.

Zgłasza się dziewczyna z sąsiedniej gromady. Radzi się, jak postąpić, gdzie się udać, aby zmusić bogacza wiejskiego, do zapłacenia należności za pracę. Gdy ja przyjmowałem, zgodziłem się na płacenie 150 zł miesięcznie. Przeprowadziła osiem miesięcy, gdy zażądała zapłaty, bogacz dał jej po 100 zł miesięcznie i jeszcze żelazo.

Zgłaszają się chłopcy z innej gromady sąsiedniej gminy i proszą o poradę. Sołtys ich, to kumoter bogaczy z nim; pije, ich chroni przed podwładnymi, szarwarkiem, zaniedbuje obowiązki, w pracy kulturalnej i gospodarczej gromady nie pomaga a przeszkadza.

Z Wólki gminnej Narutowa przychodzi chłop i powiada:

Czy nie moglibyście poruszyć w gazecie sprawę budowy szkoły u nas? Już trzeci rok dobiega jak zwieszono cegły, budowę rozpoczęto i z jakich przyczyn zaniechano. Materiał budowlany leży na słońcu i deszczu, niszczy się, a nasze dzieci gnieźdzą się w czterech zwykłych domach wiejskich, ciasnych, niehygienicznych, bez stołca i odpowiednich placów do gier i zabaw. Kto i dlaczego budowę szkoły wstrzymał?



Otrzymuję list z redakcji „Gromady”. Na gromadę Elzanowo gm. Kłokock, gdzie są lotne piaski, zła biurka wyznaczono do siania pszenicy i jęczmienia. Jadę sprawdzić jaka ziemia i jakie plony wyznaczono. Z kolei 7-miu obywateli potwierdza nadesłaną korespondencję do redakcji. Ale słyszę u mieszkańców inną słuszną skargę. Jest tam piękny murowany dom, w którym za okupacji hitlerowskiej była nie-miecka szkoła. Zaraz po ucieczce okupanta, otwarto tam szkołę polską, ale ktoś zła biurka „zlikwidował” szkołę. Był tam potem Dom Kultury, odbywały się zebrania, zabawy, schodziła się młodzież ZMP i „SP”. Komuś i to się nie podoba. Dom zamknięto, kto chce okna wybić, dachówkę dziurawić, podsuwać dachu gniają, a szkoły nie ma. 160 dzieci w wieku szkolnym uczeszcza do szkół różnych bliskich miejscowości. Latem jeszcze pół-biedy, ale zimą dzieci z klas niższych nie mogą uczeszczać po ślizgawicy albo przez zasypy. Mieszkańcy wniesli podanie do Kuratorium o otwarcie szkoły w tym domu. Od-mówiono. Ostatnio zrodził się za-

miał w głowach Prezydium Gminnej Rady Narodowej, aby ten dom przeobrazić w coś z niego zbudować przy urzędzie gminnym. Wiadomo ile materiału się niszczy przy rozbiorze domów. Dom mogą zniszczyć, a przy budynku zarządu gminnego zbudować najwyżej psia budę. Ten dom powinien być wykorzystany na szkołę albo przynajmniej na potrzeby kulturalne. Trzeba tylko w dachu dziury załatać i dać szkło w oknach.

Z takimi i innymi sprawami przychodzi do korespondenta, jeżeli mu ufają. A ufają mu wówczas, gdy nie pisze on kumoterskich korespondencji ani nikomu w nich nie zalewa sadła za skórę z osobistych pobudek. Gdy pracę swoją traktuje jako narzędzie w zwalczaniu nadużyć, gdy demaskuje sobie panów i zarozumiałców, snobów i samolubów.

Nie nauczyłem się jeszcze zbyt wiele. To moja wina, że pobieżnie walczyłem, że w pewnej mierze zatrałem czujność. Bo nie o Słupskiego tu chodzi i jego popleczników, których zresztą już nie ma w Komitecie Powiatowym. I nie o Adama Zuchowskiego. Ten siedzi już w więzieniu za nadużywanie władzy i kacykostwo. Chodzi o zwalczanie mas z władzą ludową i władzę ludową z masami. Ten związek został na naszym terenie podkopany, a to jest największe zło jakie może się zdarzyć w okresie naszego wielkiego budownictwa Planu 6-letniego, w okresie formowania narządu socjalistycznego.

Artykuł kol. Wielgusa zawiera cenne wskazówki dla każdego tere-



nowego korespondenta. Słusznie pisze autor, że na terenach gdzie brak korespondenta, w pełni panoszy się kacykostwo, co pomaga wstępcz-ctwu do agitowania ludzi przeciw Polsce Ludowej. Ale i tam, gdzie korespondent jest, nie zawsze zdoła przed czasem zwalczyć małe zło przed złem dużym. Dłżwie nieraz poczynają sobie korespondenci tere-nowi tam — gdzie ich jest kilku w pobliżu. Po prostu zazdroścą sobie „sławy” i zamiast zorganizować klub korespondentów, robią zjazd i pogadanki, choćby na skalę powiatową, uczęć się analizować problemy i zadania korespondenta

ROMAN WAWRZKIEWICZ

Wyznanie nauczyciela ludowego

Jakim-że ja byłem nauczycielem? Stawiam sobie to pytanie po przeszło 20-stu latach pracy w różnych szkołach, na wielu wsiach.

Wyrosłem z galicyjskiej nędzy, byłem przez całe dzieciństwo i lata młodzieńcze zawsze głodny, źle ubrany, nieustannie goniony za korpusem, aby zarobić na podreżniki szkolne i zeszyty. Dookoła mnie gnieździła się nędza. Jak przez mgłę pamiętam moje ojca, zamęczającego jedyną, lichą szkapę, po wyboistych drogach, na które czekała strumieniami gnojówka. Na tych „rzekach” budowałem pierwsze „okręty” w dzieciństwie.

Widziałem to samo już jako nauczyciela w Królestwie — w Baczach Suchych, Zawadach, Zambrzykach-Królach, Rutkach, Siemieniu, Pniewniku, wszędzie gdzie uczyłem. Widziałem nędzę i litowałem się. Miałem zawsze „miękkie serce”. Żal mi było dzieciaków obdarych, grzebiących się w piasku, dzieciaków niebieskookich z rozdętymi od kartofli brzuszkami... Ale jednocześnie rozpaczała mnie duma, że ja sam nareszcie nie jestem już głodny, że mam się w co ubrać, że inni mi za-drośzczą. Zazdrościli mi ci, którym nie udało się opuścić wsi, i ci — którzy ukończywszy, seminarium nauczycielskie wracali na rodzinne wioski zawiedzeni, zgorzkniali, znówu bez pracy. Nie było posad nauczycielskich w sanacyjnej Polsce, kiedy setki tysięcy dzieci chłopieckich do szkół nie chodziło z braku... nauczycieli.

Widząc to wszystko — nie dosztyłem jednak istotnych przyczyn zła. Byliśmy wychowankami szkoły kapitalistycznej, upatrywaliśmy przyczyn zła nie w sferze obiektywnych warunków społeczno-gospodarczych lecz w sercu ludzkim, niskiej moralności, egoiz-mie ludzkim. Wstrząsnęła mną dopiero „Ziemia w jarzmie” Wasilewskiej.

Mój kolega gimnazjalny Janek Ryznar uratował po lekcjach do domu we wsi Sośnina. Na przestrzeni

— on często jeden pod drugim dołki kopiał.

My korespondenci bolączek i grzechów własnych wstydzić się nie powinniśmy. Grzechem naszym było, że pozwoliliśmy sekretarzowi Gminnego Komitetu PZPR i innym zapomnieć, że są jego członkami. Doszło do nadużyć, a wróg klasowy, reakcjonista je wykorzystywał i dążył do tego, aby pomiędzy średnio-rolnymi i małorolnymi rosło przekonanie, że nie się nie zmieniło, jak bili chłopca, tak biją.

Ja i inni korespondenci na naszym terenie byliśmy daleko poza linią frontu czujności. Otworzyliśmy nam się oczy dopiero wtedy, gdy niewłaściwa taktyka zakładania spółdzielni produkcyjnej w gromadzie Okrag gm. Jastrzębie doprowadziła do rozbicia pięknie rozpoczętej pracy. Za późno dowiedzieliśmy się o tym, że gdy już było ośmiu członków chętnie i dobrowolnie podpisanych, chciano dokończyć pracę dyktatorskim sposobem, słano gońców z urzędu gminnego do chłopów z rozkazem natychmiastowego podpisania statutu spółdzielni produkcyjnej.

W akcji skupu zboża, a przede wszystkim w kontrakcji wiosennej, także zawiadła nasza czujność. Na naszych oczach narzucić usiłowało spoza biurów chłopom niewykonalny plan zasiewów. Nie w każdym Prezydium Gminnej Rady Narodowej zadano sobie trud właściwego rozplanowania kontrakcji zboża, włókna, oleistych i tytoniu. Mechanicznie rozrzucono plan zasiewów na gromady — podług ilości ziemi i to była cała robota. Albo jeszcze gorzej, „planowano” zasiewy na podstawie przestrzeni posiadanej przez chłopów a nie według ornej ziemi. Wyszło chłopu w końcu na to, że ma siał na drogach polnych, w rowach, na nieużytkach, w miejscu gdzie budynki stoją i na podwórzu.

Korespondent, to nie tylko ten, kto napisze, że w spółdzielni kumoterstwo że bogacz wiejski za pracę nie wypłaci, że to i tamto w nieładzie. Owszem, trzeba z każdym ziem walczyć, ale przede wszystkim działać na „rocie ideologicznej”, na froncie politycznym wychowania człowieka.

Słusznie zaznacza kol. Wielgus, że gdyby wypadki w powiecie gryfickim poprzeczka rzeczowa krytyka w prasie, nie stałoby się tyle zła, gdyż byłoby ono już w zawiązku zlikwidowane. Gdybyśmy byli czujniejsi, i w naszym powiecie nie stałoby się tyle złego.

Musimy my korespondenci odpowiedzieć wzmoczoną czujnością Prezydentowi Rzeczypospolitej na Jego słowa skierowane pod naszym adresem:

„Polska Ludowa liczy na waszą pomoc”.

Seweryn Skulski

TADEUSZ TOMKIEWICZ

NA PIERWSZEJ LINII

Nazwisko moje było znane na całe dwa powiaty: augustowski i suwański. Znało mnie z prasy, jako korespondenta terenowego, jedynego początkowo w tych stronach. Pisywałem już od 1948 roku prawie do wszystkich gazet, jakie docierały na nasze wsie. Praca korespondenta prasy robotniczo-chłopskiej znaczy tyle, co twarda i nieustępliwa walka.

Przypomnieć chciałbym w wstępie wypadki, jakie zaszły na naszym terenie wiosną 1950 roku. Było to w kwietniu. Napisałem tego miesiąca chyba 18 korespondencji w rozmaitych pismach. Przeważająca ich część stanowiła ostrą krytykę nadużywania władzy, szkanowania chłopów, słowem dostawała się porządnie kilku sołtysom, zgranej klucy z Zarządu Gminnego, kilku niesumieinnym nauczycielom i jednemu proboszczowi, który pomylił ambone z mównicą wiecową. Skutki moich korespondencji nie dały długo na siebie czekać. Od wsi do wsi szły plotki, że tym razem mi nie ujdzie. Na razie skończyło się na plotkach. Wróg liczył, że nastraszy mnie wystarczająco tego rodzaju pogrozkami.

Następnie zaatakowałem niewłaściwe praktyki w Nadleśnictwie, skrytykowałem ostro działalność Przewodniczącego PRN. Z kolei wskazałem na konieczność szybkiego rozprawienia się z bandą 5-ciu rabusiami, którzy wypadali co jakiś czas z lasów, rabowali spółdzielnie produkcyjne, terroryzowali przejeżdżnych na bocznych drogach. Wtedy dopiero bomba pękła. Uderzyłem — jak się okazało w ośrodek dyspozycyjny wroga. Niemal natychmiast po ukazaniu się mojej korespondencji otrzymałem anonimowy list pełen pogrozek i obelg. List zawierał ponadto wyrok śmierci na mnie, „Niewidzialna ręka sprawiedliwości” miała ten wyrok wykonać. Wróg odsłonił przybicie. Opublikowałem część owego listu w prasie, szeroko odpowiadając nieznanym autorom na ich obelgi i pogrozki. Kwiecień minął spokojnie, włos mi z głowy nie spadł. Czwartego maja wręczył mi listonosz „pismo urzędowe”. List był bez znaczka, nieco koślawym piśmem oznaczono, że opłate uiszczonej. Nadawcy oczywiście nie było. W środku maleńka karteczka następującej treści:

„Za twoją pracę i niestosowanie się do praw ogólnych spotkać cię wkrótce zasłużona nagroda, jaką się daje wściekłym psom, jadłowitym gadom i takim jak ty”.

I to wszystko. Kto występował w imieniu „praw ogólnych”? Znałem tych ludzi. Nosili ryngrafy i szkapierze na piersiach, a wychodzili, jak zbroje na szosy, mordowali bili spokojnych obywateli, rabowali mienie biednych. To byli „prawa ogólna” trójki — Orłowski, Krysiak i Gołab.

Tego samego dnia pojechałem rowerem do sąsiedniej wsi, gdzie zapowiedziałem zebranie komórek partyjnej. Radziłszy długo, zebranie zakończyło się koło północy. Do domu miałem półtora kilometra. Szedłem wolno przy rowerze, śniąc papierosa, rozkoszując się świeżością nocy. W takich chwilach czuje się szczególne zadowolenie z pracy i walki.

Jakieś 100 metrów przed wsią Serny rośnie nieduży zagajnik, miejsce wielu egzekucji, dokonywanych przez hitlerowców, pokryte dziesiątkami mogił pomordowanych. Od strony zbiorowego grobu, gdzie leży 90 pomordowanych patriotów pojawił się człowiek z rewolwerem w ręce. Odbyła się między nami następująca rozmowa:

— Kto jesteś?



— Przede wszystkim nie wiem z kim mam przyjemność rozmawiać. Tomkiewicz, jesteś czy nie — mów!

— Tak we własnej osobie.

— G...o cie to obchodzi, kto ja jestem, dawaj dokumenty!

Drab wyrwał mi z ręki portfel. Były tam legitymacje: prasowa-korespondenta, książeczka ORMO, legitymacja ZSCh, partyjna i związkowa.

— A toś ty — ptaszku, psie gońcy, poraz ostatni rozmawiam z tobą. Uważaj co i jak robisz, bo następnym razem marne skończysz.

Kiedy pochyliłem się, aby zebrać rozsypane dokumenty poczułem pierwsze uderzenie. Następnie, wymierzone kolbą pistoletu zważyło mnie z nog. Poderałem się błyskawicznie, pchnąłem napastnika w pierś i uskokczyłem w tyło. Posypały się strzały Spudłowi, ja parłem naprzód. Uszedłem terroru, kto wie — może i śmierci.

*

Dlaczego to wszystko pisać? Czy istotnie warto wspomnieć okrucieństwo wroga klasowego? Czy warto chwycić za pióro po to jedynie by wstrząsnąć na chwilę czytelnikiem? Nie o to mi chodzi. Pi-szę myśląc o wielotysięcznej armii młodych i starszych korespondentów naszej chłopiecko-robotniczej prasy. Wśród tej wielkiej rzeszy zdarzają się jeszcze niestety, wypadki bojaźni, wypadki strachu przed wrogiem klasowym. A oto przykład:

W początkach 1951 roku uczestniczyłem w wojewódzkiej naradzie korespondentów prasy młodzieżowej, reprezentowałem podwólczy „Nową Wieś”. W czasie rozmowy z korespondentką, pracowniczką Suwańskich Zakładów Roszarniczych stwierdziłem, że boję się ona działalności wroga klasowego. Udziału w dyskusji nie brała, nie usłyszałem od niej ani słowa o pracy w zakładach, nie mówiła także ni słowem o własnej pracy piarskiej. Zapytała o powód swego milczenia odpowiedziała, że nie ma o czym mówić, ponieważ od pewnego czasu już nie pisze. Moja koleżanka załamała się w pracy, ustąpiła przed wrogiem. Strata szczególnie bolesna, że nasz teren słabo przez korespondentów obsadzony, potrzebuje wzmoczonej pomocy. Koleżanka z Suwałk oświadcza mi, że boję się awantur, nieporozumień, boję się insynuacji i plotek, anonimowych listów i pogrozek. Tymczasem sprawa wygląda tak: jeżeli chcemy służyć narodowi, chcemy by naród nas cenił, szanował i kochał, musimy nas znieprawdziwić wrog klasowy. Jeżeli chcemy wygrać walkę o socjalizm nie możemy wy-mijać start, nie wolno nam unikać trudności. „Trudności po to właśnie istnieją — uczy nas korespondentów Józef Stalin — by je brać za bary i przezwyciężać”.

Jakieś nocy wyszedłem cało z rąk wroga, uratował mnie nawet życie. Ale to nie jest ważne. Zaraz następnego dnia po owej napadzie na mnie zabrałem się z pasją do pracy korespondenckiej. W ten sposób postąpiło szereg moich kolegów z suwalszczyzny. Kiedy liczę nasze szeregi stwierdzam, że się powiększyły, przetrzedają się natomiast szeregi wroga. Mogłoby jednak być nas jeszcze więcej gdyby nie odstraszały przykład tych wszystkich korespondentów terenowych, którzy stchórzyli.

Tadeusz Tomkiewicz

ROMAN WAWRZKIEWICZ

Przegląd literatury

Ku nauce

Była u nas w świetlicy dyskusja na temat, co by komu należało zobaczyć?

Gromada Poddubie, która z naszą sąsiaduje, a ma do piórna młocarni, nie chce z nami dogadać się względem sąsiedzkiej pomocy. Poddubianie powinni obejrzeć spółdzielnię produkcyjną w Swobodnicy. Tamtejsi spółdzielcy po żniwach u siebie pomogli maszynami i pracą sprzątnąć na czas zboże spółdzielcom z Tywicy. Oj, Poddubie — samoluby!

Nasze koło ZMP z przewodniczącym Niteczką powinno odwiedzić Samoniewice, gdzie zetempowic W. Zdenkowski zorganizował na konkurs czytelnicy zespół 124 osób tj. połowę mieszkańców wsi. Zdenkowski otrzymał odznakę „Przodownika czytelnictwa” i aparat fotograficzny, a gromada radioodbiornik i bibliotekę. Oj, Niteczko, cienko przedzies!

Naszych kulaków i innych babdzoków należałoby zawieźć do Bystrzycy, niechby posłuchali Ignacego Kosmala, który już wykonał roczny plan sprzedaży państwu zboża i to w 710 procentach.

A naszego kowala trzeba wyprawić do PGR-u w Żelaznej. Tam zastępowano przy żniwach łączenie sнопowiązałki konnej z traktorową, co wzmogło ogólną wydajność obu sнопowiązałek o 70 procent. I kował tamtejszy dokonał tego cudu. Nasz Maciej powiada, że osobno konie kuje, a osobno maszyny. Ale żeby konia z traktorem „złutować” to mu się w głowie nie mieści.

M. J.

Tromtadrata!

Jak mają pisać korespondenci — trudniej odpowiedzieć. Jak nie pisać — łatwiej. Na ten przykład wydrukował jeden taki Józus (szukajcie, gdzie?). „Kto by przypuszczał, że nasza gromada, która tak niedawno jeszcze, bo przed 1950 r. ciemna i zahukana — tak szybko znalazła socjalistyczną zrozumiałość i wejdzie w nurt pożytecznej, wspólnej pracy. Kto by przypuszczał, że tak szybko między zostaną wyrównane i zasiane... Cieszę się, że należę do tej gromady”. Klituz bajdu! Jak nikt nie przypuszczał, to skąd się wzięła zrozumiałość? Z Ducha Świętego? Do jakiej właściwie należy autor gromady? Do „ciemnej, zahukanej i nie przypuszczał”? Co on wie o własnej wsi? Bo nie tego się o rzeczy nie dowiadujemy. „Pięć pierwszych lat zamknął w formule: „ciemna i zahukana”. A to ci historyk rewolucji. Ostatni spółdzielczy rok w jeszcze lepszej formule: „kto by przypuszczał” i cieszy się!

W innym znowu piśmie (szukajcie, gdzie?) wyrobiony na protokół korespondent kropi: „Pięćosobowy zarząd pracuje zespołowo. Przewodniczący sprawuje nadzór nad całością, jego zastępca pomaga mu w pracy. Sekretarz zarządu i skarbnik wraz z członkami zarządu również są odpowiedzialni za swój odcinek pracy. Myślby się ten, kto by sądził, że zarząd spółdzielni, to pięciu urzędników, których nie zobaczy się przy fizycznej pracy”. Ale nikt się nie pomylił, co do korespondenta. To urzędnik, który pisze gotowymi rubrykami formularzy, statatów, przepisów, rozporządzeń, protokołów. W miejscu wykropkowane wszadza nazwiska raz stał raz stamtąd. I tak wciąż donosi, że ktoś pracuje, ktoś pomaga i ktoś również odpowiedzialny jest za swój odcinek. Do odcinka i wycinka dodaje taki pisarz swój przecinek i też się cieszy.

P. Ch.

Co się tyczy omlotów i siewów

Do niektórych rad gospodarczych, zamieszczanych w masowych pismach, dodając tylko, tu pieprzu otrzymać możemy takie chochliki:

1) Względem młocki a) Jak ustawić lokomotywę?

— Tak ustawić, aby wiatr nie gwał dymu na stertę albo stodołę.

A jak nie ma wiatru, — temci lepi.

b) Jakimi warunkami muszą spełnić pracownicy?

— Jeden — tak być ubrane chłopcy i baby, aby nie zaciepić o maszynę w ruchu, dlatego też jak najmniej okrycia, ale ręce przy sobie.

Drugi — liczymy matematycznie, na każde 60 cm szerokości bębna jedna osoba. Co grubszego baby odpadają, bo beloby tarcie.

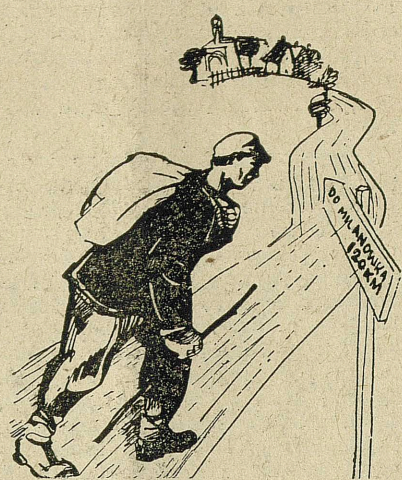
2) Gdzie siać rzepak? Rachunek jest taki: „rzepak nie znosi stojącej wilgoci”, ale „rzepak zużywa też dużo wody” — no to teraz pomiarkujcie.

3) Jak orać pod żyto? orać „na płask”. Bo widzicie, orka w zagony utrudni nam maszynowy siew, a potem maszynowe żniwa. Tutaj pilnujcie, aby wróg klasowy nie pobródził!

F. P.

Gazetka gminna

Niedawne czasy...



Urodziłem się we wsi Zameciu gm. Zajączków, pow. Opoczno.

Ojciec mój ziemi nie miał, pracował za parobka na dworach, a ja pasalem dworskie krowy na pastwisku. Jeszcze dziś czuję te wszystkie plagi otrzymane od rządcy i parobków, którzy jednego razu wezwali, mnie nawet do worka i próbowali utopić. Skończyłem z trudem 4 klasy szkoły powszechnej.

Gdy dorosłem chciałem się wyrwać za wszelką cenę z tej nędzy. Usłyszałem o kursie rolniczym w Czarnocinie pod Łodzią. Pojechałem tam, ale mnie odprawiono, bo nie miałem czym za pobyt zapłacić, a powiat mi żadnego stypendium udzielić nie chciał, dlatego, że nie należałem do żadnej organizacji rządowej.

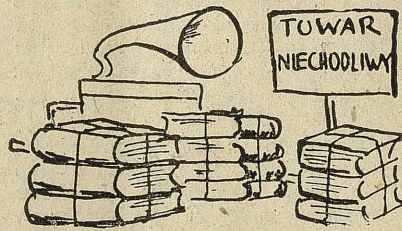
W r. 1932 dostałem się na kurs jeźdźców do Milanówka. Nie miałem na kolej, więc piecho o suchym kawałku chleba i zebraliśmy kłuj przeszedłem 120 km, od Zamecia do Milanówka. Kurs ukończyłem, ale bałem się, że pójdę do więzienia, bo nie miałem z czego odcacić długu za pobyt na kursie. Dobrze, że dostałem dorywcza pracę w Nadleśnictwie Libiszów, to i ten dług kierownictwu kursu w Milanówku spłaciłem.

Lapał się z ojcem i za handel, aby się nie dać biedzie. Chodził po wsach skupując wiśnie i śliwki, sprzedając je później na

Przeczytałem w „Chłopskiej Drodze” piękny artykuł o chłopskim synu — Wacku Filipowiczu z Suwalszczyzny. Na pewno, chłopak udany, nie ma co. Jeszcze przed służbą wojskową sekretarzować w Gminnej Radzie Narodowej — to nie było co i nie każdy potrafi.

Ale i mój chłopak też nie gorszy. Kiedy się rodził w 1936 roku strach było myśleć co z nim będzie. A dziś uczy się spokojnie w szkole zawodowej na elektryka. Grosza mnie nie kosztuje, a jak mu dobrze po padnie, jeszcze do domu przyśle. Zarabia na praktykach latem. Chłopcy na naszej wsi mówią: od razu widać, że stary Przybora ma syna elektrykiem. Tak stary znowu nie jestem, ale co prawda to prawda. Od mojego przecie chłopaka zaczęła się elektryfikacja naszej wsi. Jak zaczął tłumaczyć w Gminnej Radzie, że nie drogo, obywatela darmowa pomoc, to się radni zgodzili. Tylko w tę darmową pomoc to mało kto wierzył. Mój Władek sprowadził chybą z pół szkoły i tak się chłopaki uwinęli, że ani się człowiek obejrzał, jak się w ciasnej chałupie zrobiło jasno. Taki majster! A że jestem ojcem elektryka to mam i głośnik radiowy. Chyba z połowa chłopów z naszej Poświętówki pchnęła tego roku chłopaków i córki do szkół technicznych. Tak mi tego głośnika zazdroszcza.

Towar niechodliwy



Rzecz to niesłychana. Dopiero com wyczytał w „Chłopskiej Drodze” nagrodzoną recenzję mojego znajomego Chechelskiego, który się osiedlił w Szymankowie pod Malborkiem. Chłop tam miał ugorry do zaorania, musiał się ożyczyć do nowego miejsca, a ranku do książki nie stracił. Czyta i czyta i nawet nagrodę dostał na konkursie, jaki Samopomoc Chłopska zorganizowała dla czytelników bibliotek wiejskich. Mój znajomy opisał „Szoś Wołokotamską”, ja zaś „Zorany Ugór” i też się pewnie doczekam wydrukowania, choć w konkursie dobrego czytelnictwa brało udział 27 tysięcy chłopów, a recenzji zespołowych nadeszło 1509.

Otóż powtarzam, rzecz to niesłychana, co się w naszej Gminnej Spółdzielni w Dąbrówce przydarzyło. Na tej to fali konkursowej nasza Powiatowa Rada Narodowa w Ostródzie powzięła następującą uchwałę:

targach. Za podatki zabrano nam wtedy ośmiatną cenną rzecz w chałupie: zegar ścienny.

Matka z biedy popadła w chorobę, leżała przez cztery lata bez przerwy w łóżku, kłakną na próżno kawałka chleba czy kropli mleka. Zmarła z nędzy.

Później pracowałem w mleczarni, wreszcie jako agent portretowy i agent dewocjonalny firmy „Wlara” w Mielcu. Chwytałem się każdej roboty i z każdej wtedy było trudno wyżyć. Tak została mnie wojna.

Hitlerowcy wywieźli mnie do obozu pracy w Berlinie, skąd uwolniła mnie dopiero Armia Czerwona.

Po powrocie osiedliłem się we Wrocławiu. I tu dopiero w czterdziestym drugim roku życia mogłem ukończyć 6 klas szkoły podstawowej oraz kurs plastyczny dla samouków malarzy (bo mam do tego trochę talentu). Jestem dziś listonoszem miejskim, praca nie łatwa, choć dzień w dzień po schodach od dołu do góry, nieraz na pięcie piętro. Pensja jest skromna, ale mam zaufanie takie silne, że się i mnie i nam wszystkim poprawi po wykonaniu Planu 6-letniego, jak gospodaraka nasza urośnie.

Do swojej wsi zaglądam od czasu do czasu. Inne tam dziś życie. Antek Mikołajczyk jest dziś technikiem samochodowym. Wacek, Kiekiewicz — kierownikiem PGR na ziemiach zachodnich. Korolczak Jan — pracuje w fabryce we Wrocławiu. Wielu chłopów z mojej wsi gospodaruje dziś na Ziemiach Odzyskanych. Sporo mych rówieśników, a i młodszych nie ma, dojeżdża rowerami do pracy w fabrykach Piotrkowa i Tomaszowa.

Dzieci przeważnie w szkołach, i to nie tylko w podstawowych i średnich, ale i w zawodowych i wyższych. Oświaty, pracy i chleba nie brak. Aż mi nieraz dziwno, gdy pomyślę, jak to ze mną i z innymi tak jeszcze niedawno było. Widzi się i czuje, że dziś jest inna Polska, Ludowa.

Bolesław Dynda

Mój syn — elektryk



Ale prawdziwy ojciec wszystkie dzieci kocha. Swoje i cudze. Jest u nas we wsi sierota. Ojca i matkę zabrali hitlerowcy i ślad po nich zaginął. Dziewucha — widać od razu — zdolna, musi pracować u znanego kulaka — Kowalczyka. Rozumiem tak że naprzód państwu chodziło nie o wyjątki, ale żeby się cała masa naszej biedniackiej i średniackiej młodzieży uczyła. Działania można myśleć i o tych wyjątkach. Stać nas na to. Elektrykę robił nie tylko mój syn, ale i inne chłopaki z okolicy. Sierota po Jan-czakach, jeżeli się nią zajmujemy, kto wie czy nie założymy u nas mleczarnię. Coś nam starym z tym założeniem nie wychodzi. A trzeba by koniecznie, bo już od kilku lat pytały się krowy, co się dzieje z ich mlekiem. Podobno większa część idzie na spekulację, zamiast do najmłodszych dzieci, które w przyszłości będą razem z nami stawiać nowe domy w Poświętowie.

Jan Przybora

Przydałoby się laboratorium

Kiedy usłyszałem przez radio, że spółdzielnia produkcyjna w Wilmowicach powiatu cieszyńskiego, założyła u siebie laboratorium wiejskie, jedno z pierwszych w Polsce — od tego czasu miejsca sobie znaleźć nie mogę. Już im nawet nie zazdroszcza tego, że wynaleźli tamtejsze mierzurynowcy doskonałą ponoć masę sadowniczą. Nasza wieś nie specjalizuje się w tym kierunku. U nas głównie gospodarka zbożowa. Ale bez takiego laboratorium też się obejść nie może.

Niedawno temu, zaraz po żniwach próbowałem ustalić czy i na których kawałkach ziemi udało się lepsze, elitarnie zboże. Jeden brał



ziarno w zęby, drugi chciał liczyć pojemność każdego kłosa, część raz dziła trzy razy odsiewać. Te najgrubsze ziarna po odsianiu miały być najlepsze. Później nas tylko wysłali w ośrodku doświadczalnym w PGR-ze. A przecie gdybyśmy mieli to laboratorium i przyrządy, pokazywalibyśmy jak potrafimy hodować zboże.

Tak samo niedobrze było z ziemią. Wiecie jak się u nas bada ziemię po staremu? Bierze jej trochę chłop w garść, trze, jak zostanie trochę gliny na palcach — to orzeka, że tu są gliny. A jak nie zostanie oświadcza: wicie co — gliny nie ma. I tyle. Jest też u nas taki mędrak, który chciał zbadać kwasotę gleby. Powiada, że trzeba najpierw posiać trawę, a jeżeli będzie trwała, to znaczy, że jest krzemionka, czyli gleba kwaśna. Wychodziło na to, że trzeba najpierw rok przyglądać się trawie, żeby wiedzieć, co w ziemi siedzi. A kiedy zboża siał?

No i jak myślicie — przydałoby się więcej laboratorium po gromadach? Coś mi się tak widzi, że sprzedaliśmy państwu zboże na chleb, które powinno pojeść na siebie. Słowo daje, było chęcią elitarną. Ale bez nauki, fachowca i przyrządów tego nie dowiedzieli.

Jerzy Smutny

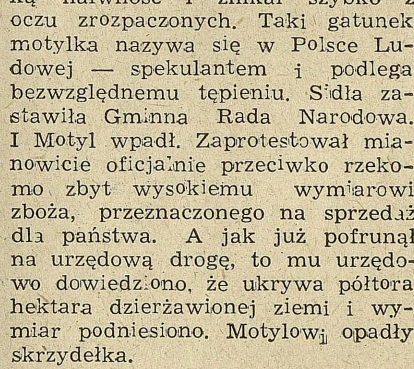
O motylach w powiecie krotoszyńskim

Na motylach ludzie się zazwyczaj jako tako znają. Wiedzą np., że taki żółty to — cytrynek, mieniący się barwami — pawie oko, obramowany na czarno nosie nazwę żabobłoka, a dostojny i rzadko spotykany to — paż królowej, wiedzą, że w kapuście czyni szkody biały — bielniek kapustnik.

A jaki motyl czyni szkodę przy akcji państwowego skupu zboża? Tak! szkodnik mieszka w gminie Smorzew i nazywa się Jan Motyl. Prawdziwy z niego motylek, lekko i swobodnie sobie żył. Tanie kupił — drogo sprzedał, fruwał z jarmarku na jarmark, wykorzystywał ludzką naiwność i zniknął szybko z oczu zropanionych. Taki gatunek motyla nazywa się w Polsce Ludowej — spekulantem i podlega bezwzględnemu tepieniu. S'ida zastawiła Gmina Rada Narodowa. I Motyl wpadł. Zaprotestował mianowicie oficjalnie przeciwko rzekomemu zbyt wysokiemu wymiarowi zboża, przeznaczonego na sprzedaż dla państwa. A jak już pofrunął na urzędową drogę, to mu urzędowo dowiedzono, że ukrywa półtora hektara dzierżawionej ziemi i wymiar podniesiono. Motylowi opadły skrzydełka.

Przepadł sobie swoje gromady i gminy. Jeżeli nie znajdzie podobnych motyli, to uważając pilnie na chytrego lisa — kulaka i niebieskiego ptaka — spekulanta.

Piotr Pigwa.



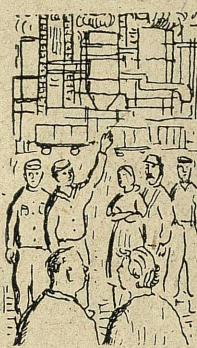
Przepadł sobie swoje gromady i gminy. Jeżeli nie znajdzie podobnych motyli, to uważając pilnie na chytrego lisa — kulaka i niebieskiego ptaka — spekulanta.

Piotr Pigwa.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet
Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 40180-90. Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7.
Prenumerata i kolportaż: P. P. K. „Ruch”, Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel. 804-20 do 25
Tel. Red. Nacz. 727-86. Tel. Redakcji 751-80 dod. wewnętrzny 91, 63
REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłaty na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3,— zł; kwartalnie 9,— zł; półrocznie 18,— zł; rocznie 36,— zł.
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-8642/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wies”.”
RSW „PRASA”, Warszawa, Marszałkowska 3/5 2-B-39544

Podróż kształcą

Śląsk pod boki



Byłem w odwiedzinach u rodziny żony aż w powiecie wałowskim. I jak to zwykle bywa zaczęło się chwalebne: ja chwalebne nasze strony, oni swoje. To ja im mówię: No, nie wszędzie pod boki jest Śląsk i Nowa Huta. U was tu wszyscy

inżynierowie... Chwalebne to, nima co, ale trza też pamiętać o wyrabianiu działaczy i majstrów od spraw wiejskich. Na to oni jak na mnie wsiadają.
— Cóż ty — powiadają — sojuszu robotniczo — chłopskiego nie rozumiesz? Obywateli tak rzekli — mnie, Alojzemu Pryczkowi, którem jest w komisji gospodarczej naszej PRN i prezesem gminnym ZSL-u. Cholewcy ze mnie, ale oświeceni, kiedy z dowodami wyszli. A dowody ich były takie: prezesem WKW w Opolu jest Józef Trzaska, chłop malarz z wadowickiego. Odnazczył się we wsi i gminie i wzięli go na instruktora organizacyjnego do PKW Wadowice. Potem został prezesem powiatowym, potem powołał go do WKW w Kra-

nowie, aż nareszcie na prezesa na województwo opolskie.

Tak my wychowujemy działaczy chłopskich — powiadają do mnie — masz jeszcze przykłady; Bałys za ją stanowisko sekretarza powiatowego w Chranowie. Cholewa został członkiem zarządu PZGS. Fraćczek inspektorem woj. zarządu ZSCh, a Pająk kierownikiem Wydz. Org.-Rolnego WKW w Olsztynie. Chcesz jeszcze przykładów?

Już mi było dość, ale chciałem wiedzieć, jak oni to robią. Otóż się okazało, że na ten przykład, przed żniwami przeprowadzili 219 zebrań w kołach gromadzkich, 65 odpraw gminnych i 19 posiedzeń GKW. Tak u nich pracują od etapu do etapu. Tam, gdzie z robotnikami większy kontakt, tam i większy na wsi ruch. Jakem to zmiarkował, mówię, no to i tak na moje wychodzi, nie każdy ma pod bokiem Śląsk. A oni mnie pytają, gdzie Śląsk leży? W Polsce — ma się wiedzieć. To taki on nasz, jak i twój. I hasło dali mi do zapamiętania: Działajcie jak w wadowickim powiecie, a Śląsk będzie tuż, tuż!

Bo i prawda jest, teraz u nas w kraju wszędzie „plac budowy”, ale nie wszędzie jeszcze nasi ludowcy tak pracują jak w wadowickim.

Alojzy Pryczek

O Widawę będziemy walczyć



To Wam powiem, że w naszej Widawie jest nowe i stare. Nowe jest na wierzchu i oczy chłopskie od razu radują, jak wjeżdżesz do Widawy: 11 różnych sklepów spółdzielni gminnej, to ci asortyment spółdzielczego handlu! Chodzisz od magazynu do magazynu i cieszysz się, że już się skończyły przedwojenne sklepikarskie czasy. Ale poczekaj, walka jeszcze się toczy. 3 piekarnie w rękach prywatnych. A Rada Gminna powi Ci, że lokalu jej brak na spółdzielczą piekarnię. A warsztatów rzemieślniczych — niezrzeszonych — całe jeszcze zatrudnienie (szkolarstwo, szewstwo, ślusarstwo i kowalstwo) 2 młyny prywatne też są i handel wyrobami tytanowymi i bogaty handel straganowy.

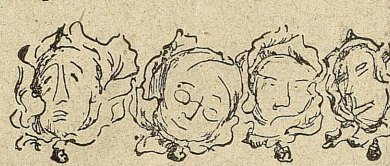
Więc taki jest widok na Widawę: w rynku spółdzielczość, a po kątach straganiarze i domokraczy, między nimi ruszają się dawne majstry rzemieślnicze. Jakaś część zaczęła liczyć to wypada, że ze 100 rodzin po dawnemu jeszcze skupuje u chłopów sady, handluje rybami, nabiałem i medalikami. Z Łodzi przywożą se wykupione materiały tekstylne i w jeden poniedziałek tyle tego z „obrotom” wysprzedadzą, że cały potem tydzień prują hycie

i tylko wspominają przy piwie i wódce, jaka ta Widawa starożytna, pono w równym wieku z Warszawą powstała, ale z tą różnicą — powiadają — że stolicę to zawsze, ten kto rządzi — upinuje, a u nas da się jeszcze po staremu.

I co wy na takie gadanie? Poczekajcie, nabierzcie do kłęcia rozmachu, kiedy Wam powiem, że te medalikarze, sado-rybicy i tokciówkarze to jeszcze nie koniec interesu. Drugi jego koniec wetkali w Gminną Spółdzielnię i podciągają ku sobie. Jest taki, proszę ja was, Sikorski, pracownik GS-u, którego żona owoc z wykupionych od chłopów sadów na targu sprzedaje. On, niewiniątko, ani o sadach, ani o handlu nie wie. Co tu w bałwech owiać. Spółdzielni rzadzi rodzina spokrewnionych z sobą Lewandowiczów. Wenerów i Sikorskich, tu także znaleźli przytulisko przedwojenny kupiec Jagielski, który był filarem endecji i przedwojenny sklepikarz Gołdecki. A znowu przez Bartosza, też „przedwojennego sklepikarza a szwagra i sekretarza miejscowej organizacji partyjnej rodzinka spółdzielcza ma i tu pewne wpływy. Te stosunki trza przewietrzyć, bo trzon organizacyj partyjnej jest zdrowy i taki tow. Nowicki (nauczyciel) Małk i inni mogą porozmawiać z wezeli rodzinie starożytnej Widawy. A po moim liście, jak zabuczy w Widawie, to myślę, że obudzona czujność pomoże nowemu.

Wincenty Pacholik

C. O. w kapuście



U nas, w gromadzie Duchowizna na pierwszym planie — kapusta. Z centralą Ogrodniczą mamy kontrakt. W związku z tą plantacją „Gazetka Gminna” zamówiła u mnie artykułki z podróży. Jak tam niby jest w Rawie Mazowieckiej i C. O. w Skierniewicach. Obiecałem, bo się przecie taki wyjazd kroili. Ale czyżby „Gazetka Gminna” również zamówiła artykułki w Centrali Ogrodniczej? Bo tam się także wzięli do podróży. Na naszą wieś przez lipiec do początku sierpnia zjechały aż cztery komisje C. O. Pierwszy raz pomacali każdą główkę kapusty, pomierzyli obwód, nawet zwążyli z dziesięć, żeby kota w worku nie kupować i odjechać, zapowiadając, że resztę dokona druga komisja. W tydzień czasu jest druga. Ta komisja wyznaczyła kapustę do pierwszego glecia, resztę załatwi następna. Po tygodniu, akuratnie jest trzecia. Ta już w pole nie sła, ino kazala ciąć z 2 ha według instrukcji nie za nisko i nie za wysoko. Kiedy przyjechała

Maciej Kobiera

Wart Pac pałaca



Uważam, że trochę w naszym Łęczyckim pospały się Komitety Kontroli Sklepowej. Miałem dwa takie przypadki. W gminie Sobótka pokłóciła się sklepowa Irena Tomczak z Sobótki Starej z kierowniczką przedszkola z Sobótki Nowej, wobec czego nie sprzedaje kierownicze mięsa i wędlin, niech jedzie do Grabowa 7 km. Kierowniczka nie pojedzie, bo dzieci pilnuje, a dzieci są bez mięsa i wędlin. Co na to rodzice? Toż to gromadzka sprawa!

A znowu gminna jest taka. Dla czego kierowniczka magazynu tekstylnego PZGS w Łęczycy, Koralewska odkupuje i to „hurtowo” towar od zamawiających u niej spółdzielni gminnych?

Wygląda to mniej więcej tak. Kierownik spółdzielni gminnej chce do sklepu pończoch. Koralewska wtedy przydziela 10 par steelonych ale od razu chce odkupić 5 par Kiedy nie w smak idzie to przedstawicielowi GS-u, oświadcza, że przydzielić może tylko 5. Nie kijem, to pałka.

Ja tu widzę dwie sprawy. Rozpuszczone sklepowe ale i gnuśne, nierządne Komitety Członkowskie. W Was też najmocniej bije. Jaki pan taki kram, jak sobie pościelić tak się wypiszę. Głęboki same nie leca do gąbki. Rzędzić trzeba, opiekować się, czuwać, bo inaczej wychodzi na to, że wart Pac pałaca!

Jerzy Blach